KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM
WIESCI PONADGMINNE
MINI-KABARET
PIEKIEŁKO

UNIWERSYTET ŚLĄSKI BIBLIOTEKA w Katowicach

DZISIAJ ZDROWIE

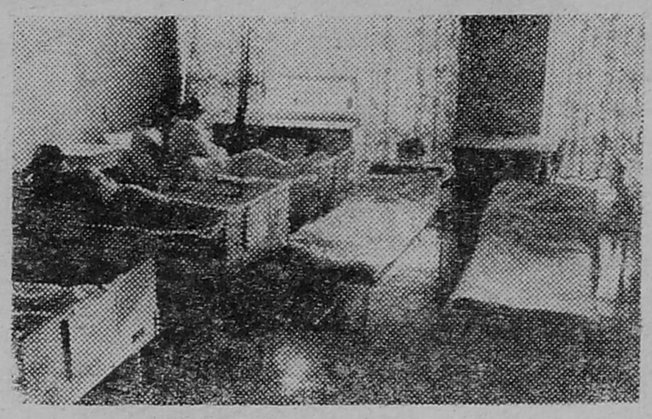

PRIORYTET NA ŻEBRACZYM KIJU – 5
BICZE SZKOCKIE – 6
SPOKOJNA NOC – 8
LUBIĘ BYĆ LEKARZEM – 9

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY ▒ PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

43
(315)
KONTAKTY
1986-10-26
cena
15 zł

ALARM DLA SZPITALA

ZNÓW SIĘ RUSZA

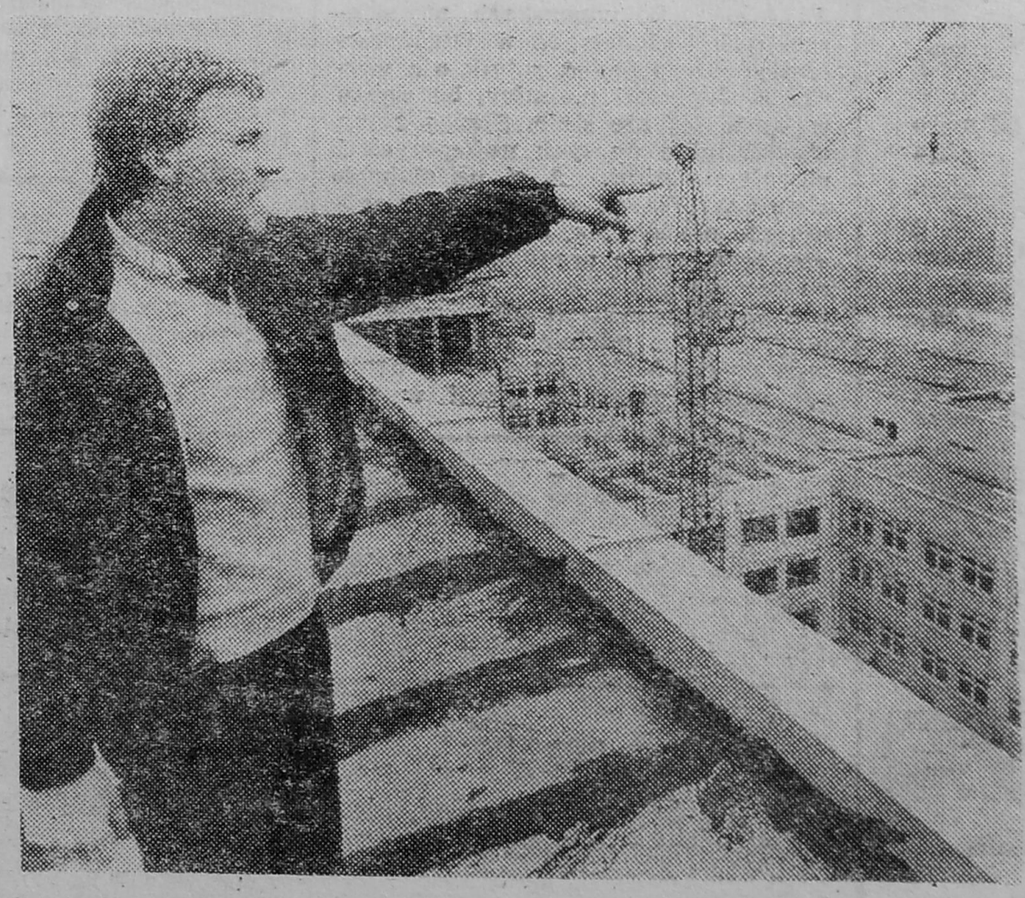

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Za niespełna 18 miesięcy, a więc w roku 1988 — zgodnie z planem inwestycyjnym, nowy szpital wojewódzki w Łomży ma przyjąć już pierwszych pacjentów. Obliczony na 8 lat okres budowy upływa już prawie w 80 procentach, a na obiekcie nie wykonano jeszcze połowy prac. Społeczność łomżyńska, przerastająca dwukrotnie możliwości powiatowego szpitala o 340 łóżkach, niecierpliwie oczekuje na prawdziwie wojewódzką lecznicę.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

W NASTĘPNYM NUMERZE: wszyscy nasi Drodzy Zmarli ▼ dokończenie tematu zdrowia; dziś — baza medyczna, czyli: „Choruj spokojnie" ▼ rzecz o Ratajowej, którą Niemcy nazywali „Zapalczywą Polką" ▼ przypadki pana dzielnicowego ▼ kto wie, co człowieka kładzie na ulicy ▼ Chris de Burgh.

zdarzenia

REDAGOWAŁ STANISŁAW ZIELIŃSKI

Z UDZIAŁEM 252 delegatów reprezentujących ponad 16-tysięczną łomżyńską organizację partyjną obradowała w sobotę, 18 października, V Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR. Jak realizować uchwały X Zjazdu PZPR w łomżyńskiej rzeczywistości? Jak walczyć z marazmem i zaściankowością? W co i jak inwestować? Jak pozyskać bezpartyjnych dla wspólnej sprawy poprawy warunków życia? Stawiać na ambicje czy realia? — Oto pytania, które najczęściej padały podczas obrad.

Z dyskusji:

✵ **Krystyna Kostro, rolniczka ze wsi Moczydły Stanisławowięta (gm. Szepietowo): — Ropa. Niby jest, ale w czasie największego nasilenia prac jesiennych zawodzi, jak zwykle, dystrybucja. Muszę parę razy jechać do stacji CPN, odległej o 16 km, po beczkę ropy. Nikt nie liczy straconego czasu i ropy wypalonej na puste przejazdy. Wygląda to jak sabotaż naszej pracy. Czy tak ciężko wyprodukować jednocześnie śruby i nakrętki, dobre części do ciągnika i innych maszyn? Ostatnio chcąc wymienić w ciągniku pękniętą śrubę za 200 zł, musiałam wymienić cały zespół za około 5000 zł. Czy to nie jest marnotrawstwo? Zachęca się do uprawy pszenżyta. Ale wtedy, gdy była pora zasiewów, nikt nie gwarantował kontraktacji.**

✵ **Mirosław Gregorczuk, przew. Zarządu Miejsko-Gminnego ZSMP w Wysokiem Mazowieckiem: — Należy wpłynąć na zmianę sposobu myślenia części władz terenowych, które często tracą więcej czasu i własnej inicjatywy na to, jak odrzucić zgłaszany wniosek, niż wymagałoby tego zastanowienie się, jak go zrealizować.**

✵ **Helena Puchała, adiunkt w Nadleśnictwie Łomża: — Ustawa o ochronie naturalnego środowiska człowieka nakłada na zakłady pracy obowiązek płacenia kar za zatrucie atmosfery. To jednak tylko półśrodek. Może dojść do tego, że zakłady w planowanych wydatkach ujmować będą wysokość kar. A przecież nie chodzi o przekazywanie pieniędzy z jednego zakładu do drugiego, a o to, by usunąć przyczyny zagrożenia, by ich nie stwarzać w przyszłości. Za każdą decyzją musi stać konkretny człowiek, a nie instytucja, bo dzieje się źle, a brak winnego.**

✵ **Witold Malinowski, emeryt ze wsi Łubiane (gm. Grabowo): — Dobry rolnik na dobrych ziemiach zawsze będzie miał dobre wyniki gospodarowania. Dlaczego nie mówimy o tych, którzy mają ziemię V i VI klasy? W warunkach atmosferycznych i glebowych województwa łomżyńskiego żaden rolnik nie uzyska 60 kwintali pszenicy, bo często w ogóle jej nie sieje. Służba rolna chodzi tylko do tych najlepszych i chwali się nimi. A ci na słabych ziemiach? Nawet sam inżynier rolnik nic nie zdziała. Odnoszę wrażenie, że wiejskie organizacje partyjne nie mają dziś należnego znaczenia. Z partią nikt się nie liczy, choć przecież ona udziela swojej rekomendacji. Najgorsza jest sytuacja samotnych członków partii w poszczególnych wsiach. Trzeba im pomóc. Jeżeli taki jest, na przykład, członkiem samorządu mieszkańców, zacznie rozrabiać, to wytrwa tylko do końca kadencji, bo po prostu przeszkadza przewodniczącym, prezesom.**

✵ **Wacław Paniczko, rolnik ze wsi Białogrądy (gm. Grajewo): — Rolnicy nie znają instrukcji stosowania środków ochrony roślin. Służba rolna została wcielona do WOPR-ów. Trzeba to zmienić. Do roku 1980 widać ją było na każdym podwórku. Dziś nie ma ani spotkań, ani szkoleń. Co mają robić zwłaszcza młodzi rolnicy? Od kogo się uczyć? Służba rolna powinna służyć rolnikom, a nie pracować jak urząd.**

✵ **Barbara Kuczałek, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 3 w Łomży: — Za patologię społeczną odpowiedzialni są przede wszystkim sami rodzice. Obniża się wiek matek rodzących dzieci, kobiet nie przygotowanych społecznie i psychicznie do roli matki i żony. Pseudoturystyczne wyjazdy do Stanów Zjednoczonych niejednokrotnie prowadzą do tragedii w rodzinie. Pół biedy, gdy wyjeżdża ojciec. Jeżeli zrobi to matka na 2—3 lata, pozostawione dziecko, okaleczone emocjonalnie, niełatwo jest uleczyć. I dlatego nie powinno się zezwalać na takie wyjazdy rodzicom, pozostawiającym nieletnie dzieci.**

Konferencja wybrała 89-osobowy Komitet Wojewódzki oraz 51-osobową Wojewódzką Komisję Kontrolno-Rewizyjną. I sekretarzem KW PZPR został ponownie Mieczysław Czerniawski, zaś sekretarzami KW: Henryk Białobrzeski (ponownie), Mieczysław Brzezicki, Jan Jamiołkowski i Marian Bogdan Koćwin; członkami Sekretariatu — Jerzy Baczewski i Grzegorz Flejter; przewodniczącym WKKR-u — Sławomir Grygo. Delegaci przyjęli uchwałę programową na przyszłą kadencję oraz plan realizacji uchwały X Zjazdu PZPR w województwie łomżyńskim w latach 1988—1990.

TYLE UROCZYŚCIE co i serdecznie pożegnała Łomża i region swego wojewodę, Jerzego Zientarę, który po prawie 12 latach administrowania województwem odszedł na emeryturę.

Nowym wojewodą został Marek Strzaliński, do niedawna sekretarz organizacyjny KW PZPR.

Odchodzącemu wojewodzie życzymy dobrego odpoczynku i udanych pamiętników (zaklepaliśmy już sobie pierwodruk); przychodzącemu — dużo zdrowia, sił, uporu i konsekwencji w przyśpieszeniu rozwoju społeczno-gospodarczego województwa.

GOŚCILI W ŁOMŻY

Zbigniew Michałek, sekretarz KC PZPR; **gen. dyw. Michał Janiszewski**, szef Urzędu Rady Ministrów — na sesji WRN i Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej.

zdanie tygodnia

— Za biurkami partia rośnie w papiery, wśród ludzi — w siłę.

Mieczysław Czerniawski
I sekretarz KW PZPR

myśl z atestem

„Kto chce rządzić ludźmi, nie powinien gnać ich przed sobą, lecz sprawić, żeby podążali za nim."

Monteskiusz

Od lewej: Marian B. Koćwin, Jan Jamiołkowski, Zbigniew Michałek (sekretarz KC), Mieczysław Czerniawski, Mieczysław Brzezicki, Henryk Białobrzeski, Grzegorz Flejter i Jerzy Baczewski.

MIECZYSŁAW CZERNIAWSKI, I sekretarz KW, urodził się 15 lipca 1948 r. w Gł[illegible]nem (Rzeszowskie). Zdobył wykształcenie wyższe politologiczne. Jest znanym działaczem młodzieżowym i partyjnym (w partii od 1967 r.). Był m.in. na początku burzliwych lat osiemdziesiątych I sekretarzem KM PZPR w Łomży, a potem — sekretarzem organizacyjnym KW. Żona — Wiesława — pełni funkcję wiceprezesa ZW TKKF. Mają dwoje dzieci: Anetę (rocznik 1972) i Przemysława (1978).

Hobby: historia i dobra książka, uprawia także sport.

HENRYK BIAŁOBRZESKI, sekretarz propagandy KW, urodził się 17.01.1936 r. w Nakłach (Ostrołęckie). Funkcję sekretarza KW PZPR powierzono mu ponownie. Jest doktorem nauk humanistycznych. Interesuje się problemami przemian struktur społeczności łomżyńskiej. Żona, Anna, jest nauczycielką, prezesem Zarządu Wojewódzkiego Ligi Ochrony przyrody. Córka, Edyta, urodziła się w 1972 r.

MIECZYSŁAW BRZEZICKI, sekretarz organizacyjny KW PZPR, urodził się 18.06.1941 r. w Radomce (Ciechanowskie). W partii od 1970 r. Po ukończeniu olsztyńskiej Wyższej Szkoły Rolniczej pracował w Instytucie Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa (Oddział w Gorzowie Wielkopolskim) i w Instytucie Naukowym Melioracji i Użytków Zielonych w powiecie grajewskim. Był sekretarzem KP PZPR w Grajewie, zastępcą, a następnie kierownikiem Wydziału Propagandy KW oraz kierownikiem Wydziału Organizacyjnego. Działa w TPPR-ze. Jest przewodniczącym komisji ds. samorządów i członkiem Prezydium WRN-u. Żona, Irena, pracuje jako starszy specjalista ds. gospodarki rolnej w WZRKiOR-ze. Ich dzieci to 12-letni Paweł i 11-letnia Magdalena. Hobby: wędkarstwo, ochrona środowiska, nauki przyrodnicze.

MARIAN BOGDAN KOĆWIN, sekretarz ekonomiczny KW, urodził się 18.04.1939 r. w Częstochowie. Jest absolwentem Politechniki Łódzkiej. Do partii wstąpił w 1962 r. Pracował dotychczas w ŁZPB „Narew" jako kierownik tkalni. Jest m.in. przewodniczącym Rady Wojewódzkiej NOT i lektorem KZ PZPR. Żona — Teresa — jest dyrektorką Szkoły Podstawowej nr 5 w Łomży, a córka, Joanna, ma 13 lat. Wolny czas spędza na działce.

JERZY BACZEWSKI, członek Sekretariatu KW, urodził się 3.08.1937 roku w Baczach Suchych (Łomżyńskie). Jest z wykształcenia politologiem i absolwentem moskiewskiej Wyższej Szkoły Partyjnej. W partii od 1960 r. Żona, Krystyna, pracuje w ewidencji KW PZPR. Mają dwoje dzieci: Jolantę (rocznik 1952) i Dżanillę (1961). Zapalony działkowicz.

GRZEGORZ FLEJTER, członek Sekretariatu KW, urodził się 30.11.1946 r. w Różannej (Bydgoskie). Ma wykształcenie wyższe ekonomiczne. Członek PZPR od 1967 r. Współtwórca PRON-u i NCzPSz w Łomżyńskiem. Był m.in. kierownikiem Wydziału Propagandy i Agitacji KW. Żona — Nina — jest pracownicą Białostockiego Wydawnictwa Prasowego. Mają dwójkę dzieci: 10-letnią Anitę i 9-letniego Konrada. Interesuje się sztuką, żeglarstwem, dziennikarstwem.

SŁAWOMIR GRYGO, przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej, urodził się 30 marca 1947 r. w miejscowości Tajno Stare w Swalskiem. Jest absolwentem warszawskiego AWF-u. W latach siedemdziesiątych pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji, m.in. sekretarza ZP ZMW i przewodniczącego RP FSZMP. Był też radnym PRN-u i członkiem Egzekutywy KP PZPR. Do partii należy od 1968 r. Wraz z żoną Danutą wychowuje dwoje dzieci: 16-letnią Agnieszkę i 9-letniego Przemysława. Interesuje się sportem i literaturą historyczną. Żona pracuje w Okręgowym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

JAN JAMIOŁKOWSKI, sekretarz rolny KW, urodził się 21.04.1944 r. w Jamiołkach (Łomżyńskie). Po ukończeniu warszawskiej SGGW pracował w łomżyńskim RPM-ie, szepietowskim WOPR-ze, w pionie rolnym Prezydium PRN w Łomży, a w 1975 — w pionie rolnym Urzędu Wojewódzkiego. W aparacie partyjnym od 1982 roku. Od grudnia 1984 r. był I sekretarzem KM PZPR w Łomży. Działa w ŁKS-ie i Oddziale Wojewódzkim SITR-u. W partii od 1969 r. Z żoną Ireną, która jest kierowniczką sekcji służb pracowniczych w łomżyńskiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, wychowują 15-letniego Krzysztofa i 9-letnią Dorotę. Hobby: ogródek i majsterkowanie.

MAREK STRZALIŃSKI, wojewoda łomżyński, urodził się 7.10.1947 roku w Siedlcach, w rodzinie inteligenckiej. Ukończył lubelską Akademię Rolniczą. Do partii należy od 1978 r. Dotychczas pracował na stanowisku ordynatora i kierownika lecznicy zwierząt. Kierował też pracami oddziału terenowego WZWet. Jest doktorem nauk weterynaryjnych. Był m.in. członkiem KG PZPR w Jasionówce, a następnie — KM i KW PZPR w Łomży. W styczniu 1984 r. został sekretarzem rolnym KW, a następnie — organizacyjnym. Żona, Alicja, uczy w Studium Nauczycielskim. Mają dwoje dzieci: Bartosz uczęszcza do I klasy LO, a Maciej — do przedszkola.

Wędkarz-teoretyk, ma dobry sprzęt, lecz go nie używa.

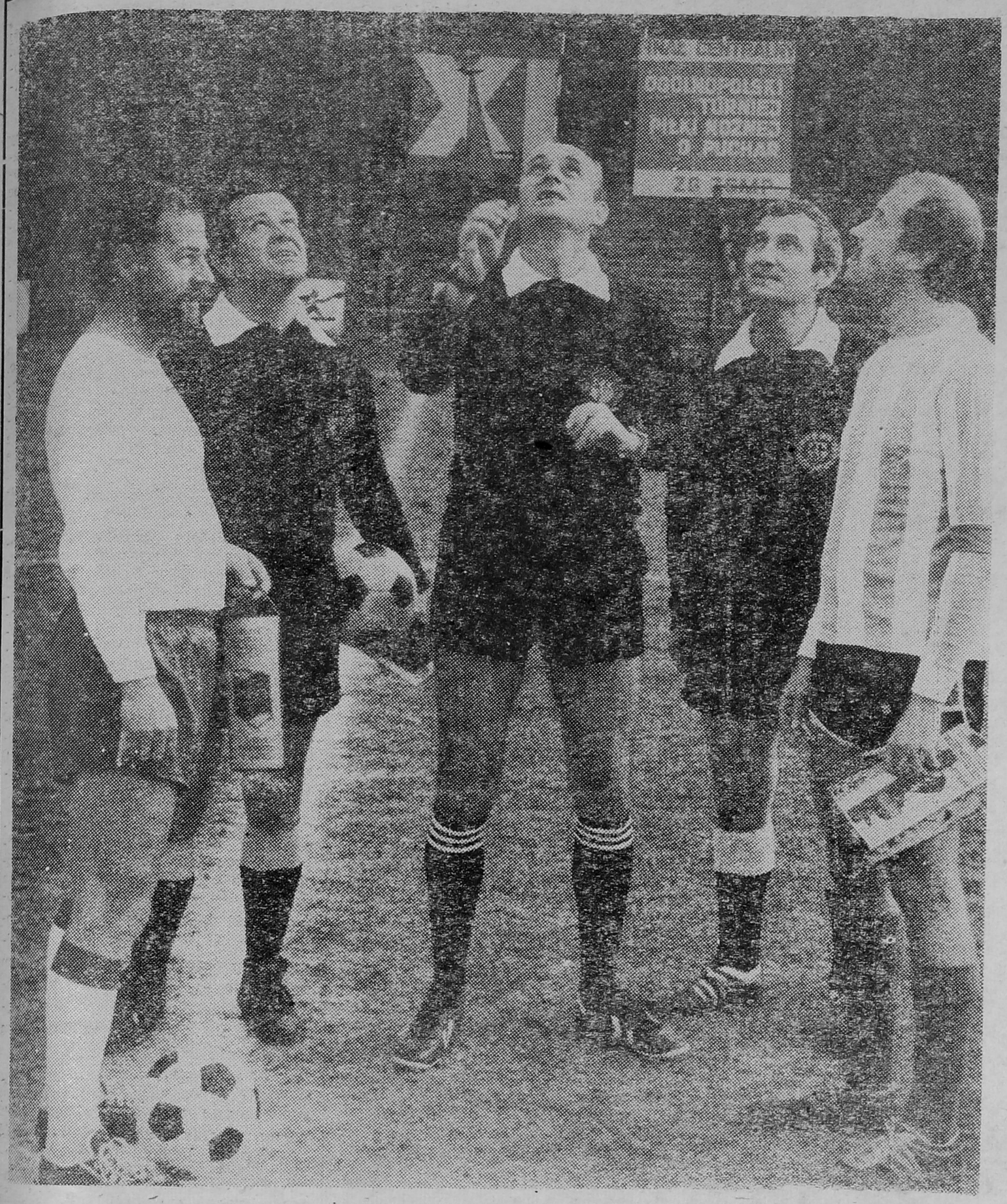

DOBRY FINAŁ

Tekst i zdjęcia
GABORA LÖRINCZEGO

Po raz pierwszy Łomża gościła najlepszych amatorów futbolu w Polsce, biorących udział w finale centralnym XI Ogólnopolskiego Turnieju Piłkarskiego ZSMP. Drużyny lubelska, legnicka i białostocka — zanim dotarły do finału — musiały wywalczyć pierwsze miejsca w swoich województwach, a następnie w eliminacjach strefowych wygrać pięć spotkań. Nasze województwo reprezentowała drużyna LZS-u z Małego Płocka, która — jako gospodarz — została zwolniona z meczów eliminacyjnych. Po ambitnej grze w dwudniowych zmaganiach najlepsza okazała się reprezentacja Białegostoku (pracownicy Zakładów Drzewnych w Hajnówce) wygrywając 3:2 z Legnicą (której zawodnicy wywodzą się z Polkowic). W walce o brązowy medal Łomża uległa Lublinowi i zajęła tym samym czwarte miejsce. Nie dopisali łomżyńscy kibice, być może zdegustowani słabym poziomem gry miejscowego ŁKS-u. A szkoda, bo było na co popatrzeć. Najlepsi futboliści-amatorzy w kraju grali poprawnie, braki kondycyjne nadrabiając ambicją i zaciętością. Przyglądający się spotkaniom piłkarzy szef wyszkolenia PZPN-u, Andrzej Strejlau, wypowiedział się o nich bardzo pozytywnie. Gratulujemy uczestnikom prawdziwie sportowego ducha, a organizatorom — stworzenia okazji do jego ujawnienia.

bunt posłusznego

Cykl publikacji pod wspólnym tytułem „«Razem» — czyli osobno", dotyczący Handlowej Spółdzielni Inwalidów i Spółdzielni Inwalidów „Razem" w Łomży, wywołał spory rezonans społeczny, zwłaszcza wśród aktualnych lub byłych pracowników obu Spółdzielni. Przychodzili oni i przychodzą do redakcji podzielić się własnymi, najczęściej niezbyt przyjemnymi doświadczeniami z pracy w tych firmach, ujmując je nawet — w dwu przypadkach — w postaci oświadczeń, które — na wyraźną prośbę zainteresowanych — zamieszczamy poniżej.

W Spółdzielni Inwalidów „Razem" w Łomży zacząłem pracować (w dziale gospodarczo-administracyjnym jako starszy referent) w lutym 1985 r. Podczas pierwszej rozmowy prezes Serwatko wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie. Przyznam się, że w tamtym momencie stałem się nawet jego entuzjastą, broniłem go potem w rozmowach z innymi pracownikami. Ale z czasem mój stosunek do niego zmieniał się. Poznawałem innych ludzi, obserwowałem... Wkrótce zresztą zdarzył się pierwszy nieprzyjemny incydent. Któregoś dnia prezes Serwatko wezwał mnie do siebie i polecił pójść do domu pewnego elektryka, zatrudnionego w naszej Spółdzielni. Miałem mu przekazać, że prezes nakazuje mu wykonać jakąś robotę w Czyżewie. Wiedziałem, że człowiek już od dłuższego czasu przebywa na zwolnieniu chorobowym, zdziwiłem się więc, ale polecenie wykonałem. Na drugi dzień zaproponowałem jednak, że to ja pojadę do Czyżewa.

Było to chyba w marcu. Prezes Serwatko wyznaczył mnie do komisji likwidacyjnej. Wraz z trzema innymi pracownikami Spółdzielni i przedstawicielem PIH mieliśmy przejąć sklep spożywczy w Jedwabnem. Dotychczasowa sklepowa dostała wypowiedzenie. Prezes przykazał nam, żebyśmy wzięli z sobą piłkę do cięcia metalu i zapasowe kłódki. — Bo w sklepie może nikogo nie być — wyjaśnił — a przejęcie musi być zrobione.

Wiedziałem, że kobieta od jakiegoś czasu choruje, podzieliłem się więc swoimi wątpliwościami.

— To tylko wybieg, ona celowo to przedłuża — zapewnił prezes.

Uczono mnie kiedyś dyscypliny pracy, byłem młodym pracownikiem, nie znałem układów. A poza tym z zasady nie potrafię na polecenie szefa odpowiedzieć — nie.

Sklep rzeczywiście był zamknięty. Pojechaliśmy więc do domu sklepowej. Kobieta leżała w łóżku, ze łzami w oczach tłumaczyła, że poszłaby z nami, ale nie może, bo „połamały" ją korzonki. Nie wiedziałem, co począć. Pozostali pracownicy byli zupełnie obojętni. Zadzwoniłem z Jedwabnego do prezesa. Kazał mi bezwzględnie wejść do sklepu, zrobić inwentaryzację i przejąć majątek na siebie. Sklepowa jakoś zwlokła się z łóżka i pojechała z nami. Nie mogła się poruszać, więc z trudem siedząc na krześle mówiła nam, co gdzie jest. Tak więc wszystko odbyło się bez włamywania do sklepu, ale mimo to sprawa nie dawała mi spokoju. Cały czas dręczyła mnie myśl, że kobieta jest krzywdzona. Z tego, co wiedziałem, w sklepie nie było manka. Zresztą i z naszych rozliczeń wyszło raptem około 5 tysięcy różnicy. Nie wiem, dlaczego prezes chciał się jej pozbyć. Serwatko mówił mi, że płaciła mandaty za brak czystości. Być może. Mnie jednak zaszokowała przede wszystkim bezwzględność, z jaką musieliśmy się obejść z tą kobietą.

Następnego dnia poszedłem do kierowniczki działu obrotu towarowego. — Co to ma znaczyć? — zapytałem. — Dlaczego się mnie do czegoś takiego wykorzystuje?

Ona mi na to: — Nie pchaj się w nie swoje sprawy, a będziesz miał spokój.

Prezes wykorzystywał mnie jeszcze wielokrotnie do spraw handlowych — brałem udział w komisjach dokonujących przecen, inwentaryzacji. Kontrolowałem kiedyś także sklep nr 40. Prezes Serwatko utrzymywał, że pani Kozłowska jest brudasem, flejtuchem, robi mu na złość. Gdy przychodzi ktoś z Sanepidu czy PIH-u, specjalnie pokazuje ślady po gryzoniach. Tuż przed remontem jej sklepu wysłał mnie tam z panią Gruszfeld. Wyraźnie sugerował, że mamy napisać, iż zastaliśmy brud i niechlujstwo. Nic takiego nie zauważyliśmy.

Ostatni raz brałem udział w inwentaryzacji sklepu przy „Orbisie". Bałagan, braki, dochodzenie milicyjne. Miałem tego dosyć. Dopóki nie było kłopotów, mogłem się jeszcze godzić na wykorzystywanie mnie do pracy, której nie miałem w zakresie obowiązków, ale w tej sytuacji...

Prezes Serwatko chyba już na początku zorientował się, jakim jestem człowiekiem. Wyczuwał u mnie to posłuszeństwo i dlatego zatrudniał do takiej „czarnej" roboty. A może nie potrafił znaleźć drugiego tak naiwnego? W każdym razie, kiedy miałem już dość, nie powiedziałem: nie, lecz poprosiłem o zwolnienie. Napisałem podanie — na gorąco wylałem na papier swoje żale, przypomniałem też sprawę sklepowej z Jedwabnego. Prezes schował je do biurka. — Ja panu dam zwolnienie za porozumieniem stron — powiedział — ale pan napisze nowe pismo. — Co było robić, napisałem.

Teraz mam nawet dobre układy z Serwatką, wykonuję na jego zlecenie różne drobne usługi. Prezes proponował mi niedawno stanowisko kierownika działu administracyjno-gospodarczego. Wolałem jednak nie skorzystać.

Ktoś mógłby zapytać, dlaczego wobec tego teraz chcę wszystko zepsuć?! Wyjaśnienie jest proste. Sumienie. Ciągle pamiętam o tym, że to ja przyczyniłem się do skrzywdzenia kobiety. Chcę się chociaż w ten sposób wobec niej zrehabilitować.

(nazwisko znane redakcji)

W szponach racji

Magazynierem jestem już trzydzieści lat. W Spółdzielni Inwalidów „Razem" w Łomży pracowałem od 1 lutego 1980 r. Nigdy nie zdarzyło mi się mieć manka, co najwyżej nadwyżki. Początkowo pracowało mi się tam bardzo dobrze. Wprawdzie miałem zastrzeżenia do tego, że towar pobierany z mojego magazynu zamiast do sklepów trafia nieraz do różnych ludzi, raz i drugi powiedziałem nawet o tym na posiedzeniu Zarządu, ale wtedy zamiast przez magazyn zaczęto go dawać przez sklep w Ciechanowcu i do mnie docierały już tylko dokumenty. W tym czasie welwet kosztował do 100 zł za metr, ale sprzedawany „na lewo" szedł po 300—400. Nie obchodziło mnie to już jednak, bo transakcje odbywały się poza moim magazynem. Prezes Głębocki, co by o nim nie powiedzieć, lubił może zakombinować, ale dbał o to, żeby w magazynie był porządek. Powtarzał mi zawsze: „Magazynier jest drugim dyrektorem. Jurek, jeśli coś będzie źle, mów mi zaraz". I wszystko było w porządku. Bałagan zaczął się z przyjściem prezesa Goska. Pomieszczenia magazynowe były zbyt małe i źle zabezpieczone, brakowało mi dobrego pracownika. Dozorcy pilnujący budynku bardzo często byli pijani, nie raz nocowali u nich różni podejrzani osobnicy. Ja zdawałem na noc dozorcom klucze od magazynu. Mogli go otworzyć, coś zabrać i nawet bym o tym nie wiedział. W czasie dnia pracy przez magazyn przechodzili ludzie z brygady remontowej i działu krawieckiego. Meldowałem o tym wszystkim prezesowi Goskowi, ale nie dawało to żadnego skutku.

Rękawice, prześcieradła i pieluchy były zabierane bezpośrednio z zakładu. Czasem kierowcy, którzy zabalowali w terenie, wracali na noc z towarem, wywalali go na korytarz, gdzie każdy miał do tego dostęp. Przeważnie nic im za to nie było, choć ich przełożeni wiedzieli o tym. Zdarzało się, że na ten towar nie otrzymywałem dokumentów powrotnych, lub z bardzo dużym opóźnieniem. W ten sposób powstały m.in. braki, którymi mnie potem obciążono. Moim błędem było to, że oddałem księgowości swoje egzemplarze dokumentów „WZ". Akurat był remanent zdawczo-odbiorczy, a dokumenty powrotne nie przyszły... Potem okazało się, że przepadły równie moje „wuzetki" i wyglądało na to, że materiał ukradłem ja.

Kiedy zdałem egzamin, a nim jeszcze poszedłem na rentę, pracowałem jakiś czas w Spółdzielni jako dozorca. Mówiłem prezesowi Goskowi, że widziałem kilka razy w nocy samochód z rejestracją zambrowską, na który kierowca ładował jakiś towar. A on na to, że to nie powinno mnie obchodzić. Gdy przywożono towar z „Bawełny", zawsze były w nim, poza zamówieniem, dwie—trzy rolki więcej. Potem wieziono je do Białegostoku, Łodzi, częściowo sprzedawano prywatnym osobom w Łomży.

Na porządku dziennym było również, że niektórzy pracownicy zaopatrzenia przywozili kożuchy, które potem podmieniali w sklepach na droższe, że przywożono mniej towaru niż było odnotowane na dokumentach „WZ". Ja zawsze przyjmowałem rzeczywiste ilości. Potem były o to awantury. Czasem obciążyli kogoś brakującą ilością, ale najczęściej nie. Czy wisi to na moim koncie, nie wiem.

W kwocie, którą mnie obciążono, sporą sumę stanowił niedobór pozorny. Jak już wspomniałem, część towaru składowana była — z braku miejsca — w korytarzu. Zwłaszcza worki z rękawicami. Ludzie przechodzący tamtędy bezmyślnie zrywali metki, na których wyszczególniona była ilość i rodzaj rękawic. Brakarki przyszywały potem nowe, ale najczęściej bez dokładnego sprawdzania zawartości worków, możliwe więc, że zamiast — przykładowo — metki na 200 sztuk, przyszywały na 150, zamiast metki na droższe, przyszywały na tańsze rękawice.

Jeśli czegoś brakowało mi naprawdę, zawsze o tym pisałem. Zwracałem się też do Zarządu w sprawie zakupywania nadmiernych ilości niektórych towarów, np. papy i cementu, przez co część z nich ulegała zniszczeniu i trzeba było rozpisać je na straty. Również i te moje interwencje pomijane były milczeniem.

Nieprawdą jest, że żyłem dobrze z prezesami, zawsze byłem z nimi na stopie wojennej i dlatego nie mogłem ich „zaopatrywać" w różne towary. Czasem miałem trochę nadwyżek, ale to zostało w magazynie i jest ujęte remanentem zdawczo-odbiorczym.

Ostatecznie okazało się też, po przeprowadzeniu dochodzenia, że w magazynie nie ma manka, a obciąża mnie jedynie brak materiału pieluchowego z powodu zaginięcia dokumentów „WZ", o czym już pisałem.

Wiadomo mi, że kiedy ktoś z pracowników zwracał się do prezesa Serwatko o ułatwienie nabycia towarów objętych reglamentacją, odmawiał, załatwiał to natomiast bez żadnych problemów prezes Gosk.

JERZY KUKSO

CO PO KRYTYCE

POWRÓT DO WŚCIEKLIC

niepokorni wygrywają samorządność

Stare ludowe porzekadło: „Jaki sołtys — taka wieś" potwierdza znaną socjologiczną regułę, iż tempo życia zbiorowościom nadają jednostki. Jeszcze przed paru laty hołdował tej prawdzie tygodnik „Polityka", fundując doroczną nagrodę „Drożdży" za szczególnie wybitne dokonania społecznikowskie. Szkoda, że ta piękna idea, głęboko już zakorzeniona w naszym społeczeństwie, została zaprzepaszczona, gdyż ludzi spod znaku „Drożdży", jak nigdy dotąd, potrzeba szczególnie w województwie łomżyńskim.

Należy do nich Mirosław Wszeborowski, mieszkaniec kolneńskich Wścieklic — bohater zamieszczonego w „Kontaktach" przed trzema laty reportażu: „Meandry demokracji. Manipulanci". Wskutek krytyki prasowej sprawą zainteresował się także Komitet Rady Ministrów ds. Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej.

Przypomnijmy istotę sporu. 6 stycznia 1978 roku pracownik kolneńskiego SKR-u przeprowadzał we Wścieklicach zebranie wiejskie, na które przyszło tylko 6 rolników. Sporządził listę obecności, na którą dopisano osiem nazwisk gospodarzy, po czym „uchwalono uchwałę" stwierdzającą, że wieś godzi się przekazać Spółdzielni swój Fundusz Rozwoju Rolnictwa, tj. kwotę 825 576 złotych. Bank, mając dokument i podpisy połowy rolników Wścieklic, dokonał przelewu.

Koledzy Wszeborowskiego, a z czasem i ich rodzice, utwierdzali się w przekonaniu, że bez otwartego konfliktu pieniędzy odzyskać się nie da, zwłaszcza że nawet prokurator rejonowy odmówił postępowania przygotowawczego i doradził *„dochodzenie tej kwoty na drodze postępowania cywilnego"*. Wieś upoważniała Mirosława Wszeborowskiego do reprezentowania jej w sądzie, a gospodarze deklarowali składkę na opłacenie adwokata.

16 grudnia 1983 r. Mirosław Wszeborowski otrzymał odpowiedź na swoje pismo od Najwyższej Izby Kontroli: *„Zgodnie z zasadą statutową, wkłady i udziały członkowskie podlegają zwrotowi występującym ze spółdzielni, stąd więc istnieje także możliwość zwrotu określonych kwot Funduszu Rozwoju Rolnictwa mieszkańcom wsi w przypadku rozważenia z ich udziałem takiego rozwiązania"*.

Sprawa trafiła do Sądu Wojewódzkiego, który ustalił, że uchwała została podjęta niezgodnie z prawdą i prawem, bo o rozdysponowaniu środków Funduszu Rozwoju Rolnictwa decyduje tylko samorząd mieszkańców. Zasądził SKR-owi w Kolnie zwrot zagarniętych pieniędzy wraz z odsetkami od chwili przywłaszczenia do dnia wypłaty. Spółdzielnia odwołała się do Sądu Najwyższego, lecz ten oddalił wniosek o rewizję nie widząc *„żadnych argumentów"*.

Odwiedziłem Wścieklice już po przelaniu wywalczonej gotówki na ich konto. Mirosław Wszeborowski podjął w tym czasie jeszcze jedną ważną życiową decyzję — ożenił się. Nawet najstarsi mieszkańcy wsi powiadają, iż takiego wodza jeszcze nie mieli. — Ja też go popierałem — powiedział 92-letni Bolesław Sarnacki — żaden z nas, byłych sołtysów, na takie postępowanie by się nie odważył.

W roku 1976 za 825 576 złotych na pewno można było postawić piękny klub. Materiały budowlane kosztowały wtedy dziesięciokrotnie mniej. Teraz stać Wścieklice tylko na wykupienie niewielkiego budynku. Jest taki we wsi, ale właściciele — matka i dwaj synowie — nie mogą się domówić w kwestii podziału pieniędzy. Mirosław Wszeborowski i na to ma sposób: — Zapłacimy im za posiadłość. Niech złożą pieniądze do depozytu sądowego, a nam nie odwlekają sprawy.

Wścieklicki przypadek niezbicie dowodzi, iż ludzie drożdże są w środowisku niezwykle potrzebni. Potrafią oni przywrócić zaufanie do idei samorządności i uczynić z niej oręż w walce o poszanowanie spraw ogółu.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

PRIORYTET NA ŻEBRACZYM KIJU

„Zakład Opieki Zdrowotnej w Żninie zatrudni od zaraz dwóch lekarzy. Zapewniamy wygodne mieszkania w nowym budownictwie (84 m kw.), talon na samochód oraz dobre warunki płacowe."

„Urząd Wojewódzki w Zielonej Górze Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej zatrudni od zaraz: pediatrę lub specjalizującego się w tej dziedzinie względnie mgr. pielęgniarstwa na stanowisko dyrektora Sanatorium Rehabilitacyjnego dla dzieci w Wojnowie. Zapewniamy dobre warunki płacowe oraz mieszkanie 4-pokojowe, z kuchnią, łazienką, garażem i ogródkiem."

— Takich ogłoszeń — wskazuje całe kolumny „Przeglądu Lekarskiego" dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Łomży, Henryk Kirejczyk — są dziesiątki. Kandydatom na ordynatorów w Wałbrzychu oferowano piękne domki jednorodzinne z ogródkami! Więc jak ja mogę rozpisać konkurs, kiedy pierwsze pytanie zazwyczaj brzmi: „Jakie otrzymam mieszkanie?" Mogę jedynie odpowiedzieć: „Nie wiem" i usłyszeć: „To dziękuję":

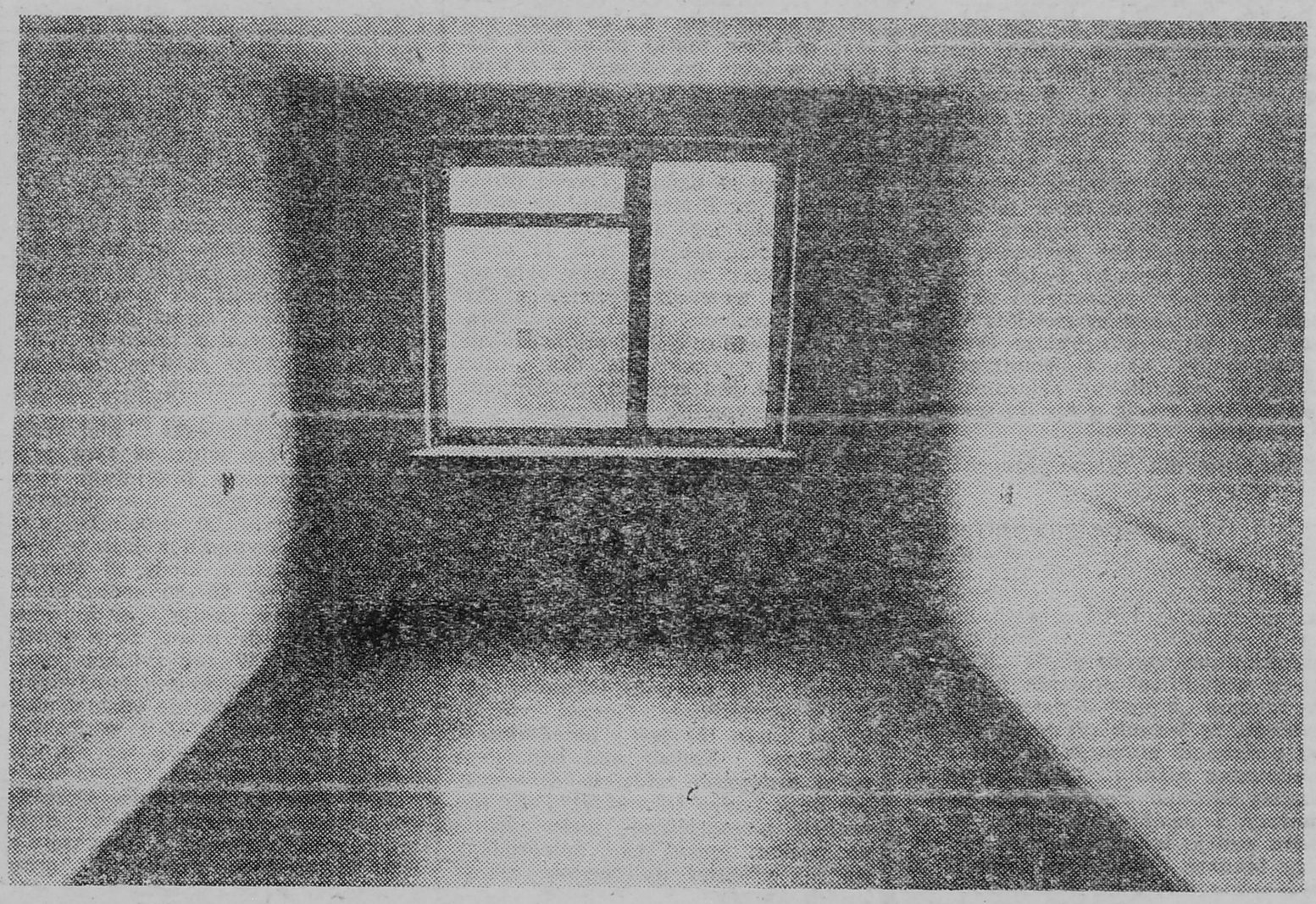

Dochodzą do tego sztywne przepisy spółdzielni mieszkaniowych. Oto pismo Zarządu „Perspektywy", który *„podjął negatywną decyzję w sprawie skierowania na nazwisko Mariana Jaszewskiego"* ponieważ jego rodzina liczy 3 osoby, a mieszkanie, które chcemy mu przekazać, to M-4. Nieważne, że Jaszewscy to małżeństwo lekarskie, a w innym przypadku zatrudnienie dwóch lekarzy wiąże się z koniecznością oddania dwóch, a nie jednego mieszkania.

Zgodnie z ustaleniami z 1981 roku — łomżyńska służba zdrowia miała otrzymywać dwadzieścia mieszkań rocznie. Dziś powinna ich mieć 100.

— Otrzymaliśmy 42 — skrupulatnie obliczyła kierowniczka działu służb pracowniczych, Kazimiera Wiktorzak. — Jednocześnie straciliśmy cztery, ponieważ w przypadku odejścia lekarza mieszkanie po nim natychmiast przejmował prezydent.

— Dziś sprawa zatrudnienia specjalisty to kwestia podjęcia błyskawicznej decyzji w chwili, gdy zgłasza on chęć przyjazdu do Łomży Po kilku tygodniach ludzie ci zazwyczaj znajdują sobie nowe miejsca pracy i jakakolwiek nasza oferta przestaje ich interesować — uzupełnia dyrektor i sypie przykładami: — Dzieje się tak dlatego, że nigdy z wyprzedzeniem nie wiemy, ile mieszkań otrzymamy, jakiej kategorii i, co najważniejsze, kiedy. Powinna też obowiązywać zasada, że mieszkanie po lekarzu zostaje w naszej dyspozycji dla lekarza!

Dyrektor nie chce dramatyzować, ale uważa, że może dojść do takiej sytuacji, iż za trzy lata, gdy ruszy nowy, olbrzymi szpital wojewódzki przy szosie Zambrowskiej, nie będzie w nim komu pracować.

— Uruchomimy pięć nowych oddziałów: neurologię, kardiologię, okulistykę, rehabilitację leczniczą, laryngologię i urologię. Tylko na początek trzeba będzie zatrudnić siedemdziesięciu siedmiu lekarzy, ściągnąć z Polski pięciu ordynatorów. Poza tym ten nowoczesny szpital musi być obsługiwany przez wysokiej klasy techników, inżynierów, elektroników, bo nie można, jak teraz, do każdej awarii sprowadzać speców z Krakowa, Poznania czy Warszawy. Wojewoda Dąbrowski dał wprawdzie słowo, że równolegle ze szpitalem zostanie oddany blok z dziewięćdziesięcioma pięcioma mieszkaniami, ale przecież nie można poważnie liczyć na to, że w ciągu kilku tygodni 1989 roku uda nam się zatrudnić kilkudziesięciu specjalistów. Należy to czynić już teraz: chętnych nie brakuje, podpisujemy umowy stypendialne, tyle że w każdej z nich jeden z warunków brzmi: mieszkanie!

A tych nie mają nawet pracujący w istniejącym szpitalu. „Bilans" wewnętrzny, sporządzony 15 września, ujmuje ten problem wymownym rządkiem cyfr: na M-2 czeka dziesięciu lekarzy, na M-3 — czterech, na M-4 — dwóch.

— W dodatku absolutnie nie można teraz liczyć na pomoc zakładów pracy — mówi Henryk Kirejczyk — Krótkowzroczność kamuflowana trzema „S" doprowadziła do tego, że na mój koszt nie chcą nawet zatrudnić sprzątaczki, która przecież sprząta ich własne gabinety.

— To coś nie tak, niemożliwe! — wyraźnie wietrzy próbę „podpuszczenia" wiceprezydent Łomży, Gilbert Okulicz-Kozaryn, gdy przedkładam kolejne krytyczne uwagi pod adresem władz miasta. — Przecież nie dalej jak 28 sierpnia spotkałem się z zastępcą dyrektora szpitala, Marianem Mindą, i z rocznym wyprzedzeniem poprosiłem o sugestię, jakich mieszkań potrzebuję. Zgodnie z propozycją dyrektora ustaliliśmy, że w 1987 roku wykupimy im trzy lokale M-4, trzy M-3 i cztery M-2. I tak było zawsze! Tylko w tym roku mogli mówić o zaskoczeniu, bo nagle okazało się, że jest możliwość pozyskania trzech mieszkań ponadprogramowo. Sam dowiedziałem się o tym nieoczekiwanie i natychmiast zaproponowałem je szpitalowi, choć oczekujących specjalistów w innych dziedzinach też nam nie brakuje. Rzeczywiście powiedziałem wówczas, że kandydatów muszą dać natychmiast, bo przecież mieszkania nie mogą stać puste, a ja nie będę płacił za nie czynszu.

Lekarze zawsze byli i są traktowani priorytetowo. Przecież tylko w 1985 roku otrzymali dwadzieścia dwa mieszkania!

— Jeżeli dyrekcja szpitala ma kłopot, to raczej ze znalezieniem chętnych, by tak dużą ilość lokali zasiedlić. Mogę to udowodnić: oto „Lista przydziału lokali spółdzielczych będących w dyspozycji terenowego organu administracji państwowej na rok 1985". Proszę spojrzeć na tę pozycję: jedno nazwisko i adnotacja *„rezygnuje"*, drugie to samo, dopiero trzeci kandydat zdecydował się podjąć pracę. Podczas moich dwóch lat pracy w ratuszu stracili wprawdzie jedno mieszkanie w wyniku odejścia anatomopatologa, ale zyskali inne dzięki przydziałowi specjaliście z Wydziału Rolnictwa UW, którego żona jest lekarzem.

Inne problemy, uważa prezydent, to wyłącznie kwestia dogadania się służby zdrowia z zarządami i radami nadzorczymi spółdzielni. Nie można bowiem globalnie przyjąć, że lekarzowi należy się za sam fakt istnienia tutaj dodatkowy pokój lub dwa w przypadku olbrzymiego głodu mieszkaniowego. Każdą sprawę spółdzielnie muszą i powinny rozpatrzyć indywidualnie, a głowa samej służby zdrowia w tym, by je przekonać, iż w takim lub innym konkretnym przypadku sprawę należy potraktować wyjątkowo.

— Ze swej strony dajemy wszystko, na co nas stać — przekonuje ze świadomością, że niewątpliwie nie są to czasy, w których w pełni zaspokoić można wszystkie życzenia.

Każdy kij ma ponoć dwa końce. Okazuje się, że żebraczy na pewno!

WŁADYSŁAW TOCKI

interpretacje

kontakty kontaktów

Po osiedlach Kolna, a zresztą nie tylko, bo po stolicy województwa także, regularnie co sześć tygodni krąży kominiarz, czyli czyściciel osiedlowych przewodów kominowych. Nikt nie ma wątpliwości co do tego, że zgodnie z zaleceniem ochrony przeciwpożarowej kominy powinny być czyszczone. Szkopuł tkwi jednak w tym, iż po wyczyszczeniu komina po okresie ogrzewczym, który kończy się 31 marca, nasz miły kominiarz nadal nas odwiedza co 6 tygodni i wówczas występuje jako kominiarz-inkasent, gdyż pobiera tylko opłaty za dawno wyczyszczony komin (41 zł, 46 zł, 51 zł, 70 zł, 76 zł — to moje ostatnie rachunki).

Czyżby prezesi spółdzielni kominiarskich nie wiedzieli, że właściciele domów (przewodów kominowych) — zgodnie z postępem ogólnoświatowym — w okresie letnim nie korzystają z przewodów kominowych tylko z kuchenek gazowych, które takowych przewodów nie posiadają. Wszystkim dały się we znaki trudności związane z zaopatrzeniem w węgiel i w okresie letnim oraz wczesnojesiennym z oszczędności nie palą w piecach, a poza tym w tym czasie i tak jest ciepło.

Wobec powyższych faktów osobom odpowiedzialnym za usługi kominiarskie proponuję, aby skończyły z tą bezmyślnością i głupotą: nie czyście w lecie kominów wyczyszczonych wiosną! Za swoje rzekome usługi, których cena wzrasta co sześć tygodni, ustalcie całoroczną opłatę, tak jak to czyni wiele instytucji. Uważam, iż opłatę tę należałoby uregulować do końca marca. Z takiej nowości będzie bardzo wielka korzyść, zaoszczędzi się nerwów właścicielom przewodów kominowych, niszczenia butów ludziom świadczącym usługi kominiarskie, których należałoby skierować do prawdziwej pracy, a nie do pseudoczyszczenia.

Życzliwy dla sympatycznych kominiarzy —

CZESŁAW SENDROWSKI
Kolno

}*{

Jakkolwiek w artykule „Kwestia nieco wstydliwa" słusznie pisze się, że lekarze „biorą" z pewnością nie z biedy, to jednak często są głoszone opinie, iż sytuacja ta jest spowodowana niskim uposażeniem w służbie zdrowia. Puśćmy więc wodze fantazji i wyobraźmy sobie, że od jutra pensja lekarza wynosi milion. Czy lekarze przestaną „brać"? Z pewnością nie, gdyż żaden milioner nie rezygnuje ze źródeł przychodu, a każdy lekarz ma zakodowaną w sobie zasadę, że pacjent płaci. Co więc zmieniłoby się? Chyba tylko to, iż dla milionerów liczą się w znaczący sposób jedynie setki tysięcy, więc zaczęliby takich kwot żądać od pacjentów. Karanie też nic by nie dało, bo przecież nie można ukarać wszystkich. Z tych rozważań płynie tylko jeden smutny wniosek: jedyna rada — nie chorować.

CZYTELNIK z WROCŁAWIA
(nazwisko i adres tylko do wiadomości redakcji, bo ja też mogę zachorować)

}*{

Ponieważ nie możemy inaczej poradzić sobie z pewnym problemem, piszemy do gazety. Chodzi nam o nasz sklep i obowiązki sklepowej. Sklep, mimo że wisi na drzwiach rozkład godzin otwarcia, otwierany i zamykany jest o bardzo różnych godzinach. Oprócz tego w ciągu dnia sklepowa samowolnie robi sobie przerwę, bo musi pójść do domu się najeść.

W naszym sklepie przy wędlinach nigdy nie ma aktualnych cen. Bywa, że ta sama wędlina kupiona w Kolnie kosztuje taniej. Mamy też zastrzeżenia do sposobu ważenia towarów.

MIESZKAŃCY wsi JAŃOWO
(nazwisko do wiadomości redakcji)

Coś z życia: mąż odwozi brzemienną żonę do łomżyńskiego szpitala; po chwili wybiega ona z wieścią, że nie ma miejsca w oddziale położniczym, i pytaniem od personelu: czy nie dałoby się odłożyć porodu na inny termin. Karetka zawozi ją do szpitala w Kolnie, gdzie kobieta słyszy podobne propozycje.

BICZE SZKOCKIE

Ale ponoć bezstronna jest tylko statystyka. W 1985 roku w kolneńskim szpitalu hospitalizowano 4314 osób, w tym 800 dzieci. Spośród urodzonych w tym czasie 1503 noworodków zmarło 14.

Alicja Słojewska, ordynator oddziału dziecięcego w kolneńskim szpitalu, do tej statystyki ma komentarz: 14 zgonów trzeba porównać do liczby 54 wcześniaków, które urodziły się w szpitalu. Albo tak: wśród 14 zmarłych noworodków było 8 wcześniaków.

— Należy przeciwdziałać takim porodom — tłumaczy pani ordynator. — To zadanie dla ginekologów. Na każdej naradzie, jeśli poruszany jest temat wczesnych porodów i śmierci dzieci w ciągu 7 dni od urodzenia, bije się w ginekologów. Chodzi o to, aby jak najwcześniej wykryć nieprawidłowości w przebiegu ciąży i im przeciwdziałać oraz pouczać matki, jaki tryb życia powinny prowadzić w takiej sytuacji. Miałam taki przypadek: dzięki szybkiemu wykryciu niewłaściwego przebiegu ciąży, co groziło porodem w szóstym miesiącu, dziecko było donoszone i urodziło się zdrowe. Ale mąż tej osoby jest ginekologiem. Na co dzień jest tak, że krew matki pobieramy dopiero w izbie porodowej, a o konflikcie grupy krwi dowiadujemy się podczas obserwacji noworodka; wtedy na gwałt trzeba robić transfuzję. Na dodatek nie możemy wykonać tego w Kolnie. Trzeba dziecko wozić do Białegostoku, co zwiększa ryzyko jego śmierci. W trzech przypadkach spośród tych 14 przyczyną śmierci noworodków była zamartwica wewnątrzmaciczna. Dokładna kontrola płodu umożliwiłaby zapobiegnięcie śmierci przez np. cesarskie cięcie. Dla nas taka śmierć też jest wielkim przeżyciem. Każdy przypadek analizujemy w zespole z udziałem dyrektora szpitala. Dodam na marginesie, że w takim przypadku muszę wypełnić 10 formularzy informacyjnych.

Docent doktor hab. Mirosława Urban, specjalista wojewódzki w dziedzinie pediatrii i medycyny szkolnej, sporządziła analizę pracy oddziałów noworodkowych. Do oddziału w Kolnie miała następujące uwagi: *„[...] warunki lokalowe oddziału dostateczne. Obsada oddziału od wielu lat jest przedmiotem niepokoju. Nadzór nad oddziałem pełni ordynator oddziału dziecięcego: brak kadry lekarskiej. Fakt ten rzutuje niewątpliwie niekorzystnie na poziom opieki nad noworodkami jak również na ciągłość opieki profilaktycznej [...]. W celu usprawnienia opieki nad noworodkami proponuję pilne zorganizowanie sali intensywnego nadzoru nad noworodkiem".*

W oddziale dziecięcym kolneńskiego szpitala były 4 zgony. Mówi Alicja Słojewska: — Poza przypadkami wad serca, gdzie nie byliśmy w stanie pomóc, zanotowaliśmy przypadek posocznicy, czyli zakażenie organizmu nieprawidłowym leczeniem w domu. Jeśli dziecko jest chore, matki chcą mieć je w domu, co jest dopuszczalne. Pół biedy, jeśli mieszkają w mieście, wtedy nawet ze szczepieniem trzy razy w ciągu doby nie ma problemu; ale jeśli rodzina mieszka na wsi, i to gdzieś na kolonii? Nie zgodzę się więc z twierdzeniem, że śmierć to skutek zaniedbania lekarzy. Fakt: brakuje pediatrów, ale wszystkie badania profilaktyczne w szkołach i przedszkolach wykonujemy na czas. Jeśli lekarz w ciągu 10 dni nie odwiedzi noworodka w domu, nie otrzymuje premii. Higieną szkolną powinno zajmować się w Kolnie dwóch lekarzy. Praktyka jest inna. Pediatra z przychodni biega do szkół przeprowadzić badania. Kiedy w przychodni ustawi się kolejka, wtedy do pomocy kierujemy pediatrę ze szpitala.

W poradni dziecięcej ruch niewielki. Ale to nie dlatego, że drzwi do poradni dla dzieci zdrowych są zamknięte i trzeba przechodzić przez pomieszczenia wyznaczone dla chorych. W przychodni troje rodziców z dziećmi. Nie mają wniosków ani skarg dotyczących służby zdrowia, którymi chcieliby podzielić się z dziennikarzem. W drugiej części przychodni, gdzie zlokalizowano gabinety specjalistyczne, zajęte są dwa rzędy ławek: wszyscy czekają do stomatologów.

Ryszard Kozikowski, kierownik przychodni, nie widzi w tym problemu. Pacjentów przyjmuje czterech stomatologów, do których czeka najwyżej 20 osób. To niewiele w porównaniu z jeszcze niedawnym okresem, kiedy na przyjęcie czekało po 70—80 osób. Trudniej natomiast dostać się do okulisty. Przyjmuje przez dwie godziny dziennie. W tej sytuacji okulistyczne przychodnie łomżyńskie zostały zobowiązane do obsługi pacjentów z terenu ZOZ-u w Kolnie. W przychodni brakuje też dermatologa.

Jeśli dziecko przebrnie szczęśliwie okres niemowlęcy, jest duże prawdopodobieństwo (konkretnie 1:3), że trafi do krórejś z grup dyspanseryjnych. Wynika to ze statystyki. W ubiegłym roku szkolnym do kolneńskich szkół uczęszczało 1431 dzieci, z tego do grup dyspanseryjnych (czyli podlegających szczególnej trosce lekarzy) należało 524. W grupach dominują trzy schorzenia: zaburzenia w rozwoju fizycznym, wady wzroku, skrzywienia kręgosłupa. Lepsza sytuacja jest w przedszkolach. Tak przynajmniej wynika ze statystyki: spośród 358 dzieci do grup dyspanseryjnych skierowano 61.

Jedyna nadzieja w rehabilitacji. Przychodnia rehabilitacyjna mieści się na piątym piętrze kolneńskiego szpitala. Złośliwi twierdzą, że kto zdoła się tam wdrapać — jest zdrów. Może to powód, że w przychodni ruch niewielki.

Iwona Tybinkowska, magister rehabilitacji, mówi, że to tylko w części sprawa wakacji. Tak naprawdę niewielkie jest zainteresowanie rehabilitacją wśród rodziców chorych dzieci. Regularnie odwiedza poradnię najwyżej 30 proc. Ideał jest taki: rodzice zgłaszają się z dzieckiem, otrzymują przeszkolenie, jak prowadzić zajęcia rehabilitacyjne w domu, a co kilka dni przyprowadzają je na kontrolę. W praktyce po jednym (najwyżej po kilku) zajęciu dziecko nie pojawia się więcej w przychodni.

Jan Kleczyński, kierownik przychodni, problem widzi jeszcze ostrzej: — Około 70 proc. dzieci w wieku od 6 do 14 lat ma wady postawy, skrzywienia kręgosłupa, błędy w rozwoju klatki piersiowej, płaskostopie. Z tego 25 proc. wymaga specjalistycznych ćwiczeń korekcyjnych. Pozostali mogliby poprawić sylwetkę na zajęciach wychowania fizycznego. Wymagałoby to jedynie przeprowadzenia 15-minutowej gimnastyki na każdej lekcji. Niestety, nauczyciele wychowania fizycznego są rozliczani za wyniki sportowe a nie za rozwój fizyczny uczniów. W tej sytuacji wystąpiliśmy do inspektora oświaty z wnioskiem, że sami będziemy prowadzić zajęcia rehabilitacyjne w szkołach, pod warunkiem udostępnienia sal gimnastycznych i podstawowego sprzętu, znajdującego się zresztą w szkołach. Ale nie doszło do porozumienia. Sale gimnastyczne są przeciążone. Zaproponowano nam prowadzenie zajęć w wolne soboty. Mniejsza o to, że za ich prowadzenie w wolne dni mieliśmy otrzymywać po 100—130 złotych za godzinę, ale trudno byłoby zebrać dzieci! Okazuje się jednak, że można prowadzić takie zajęcia. Dokonał tego dyrektor Szkoły nr 1. Prowadzi je osobiście na korytarzu, bo szkoła nie posiada sali gimnastycznej.

Poradnia rehabilitacyjna, czynna w godz. 8.00—15.00 (czas nauki i pracy), wyposażona jest w wiele skomplikowanych urządzeń. Brakuje tylko borowin i biczy szkockich. Szkoda. Ten ostatni zabieg należałoby przymusowo aplikować osobom odpowiedzialnym za stan zdrowia dzieci.

WIESŁAW KOŁOWSKI

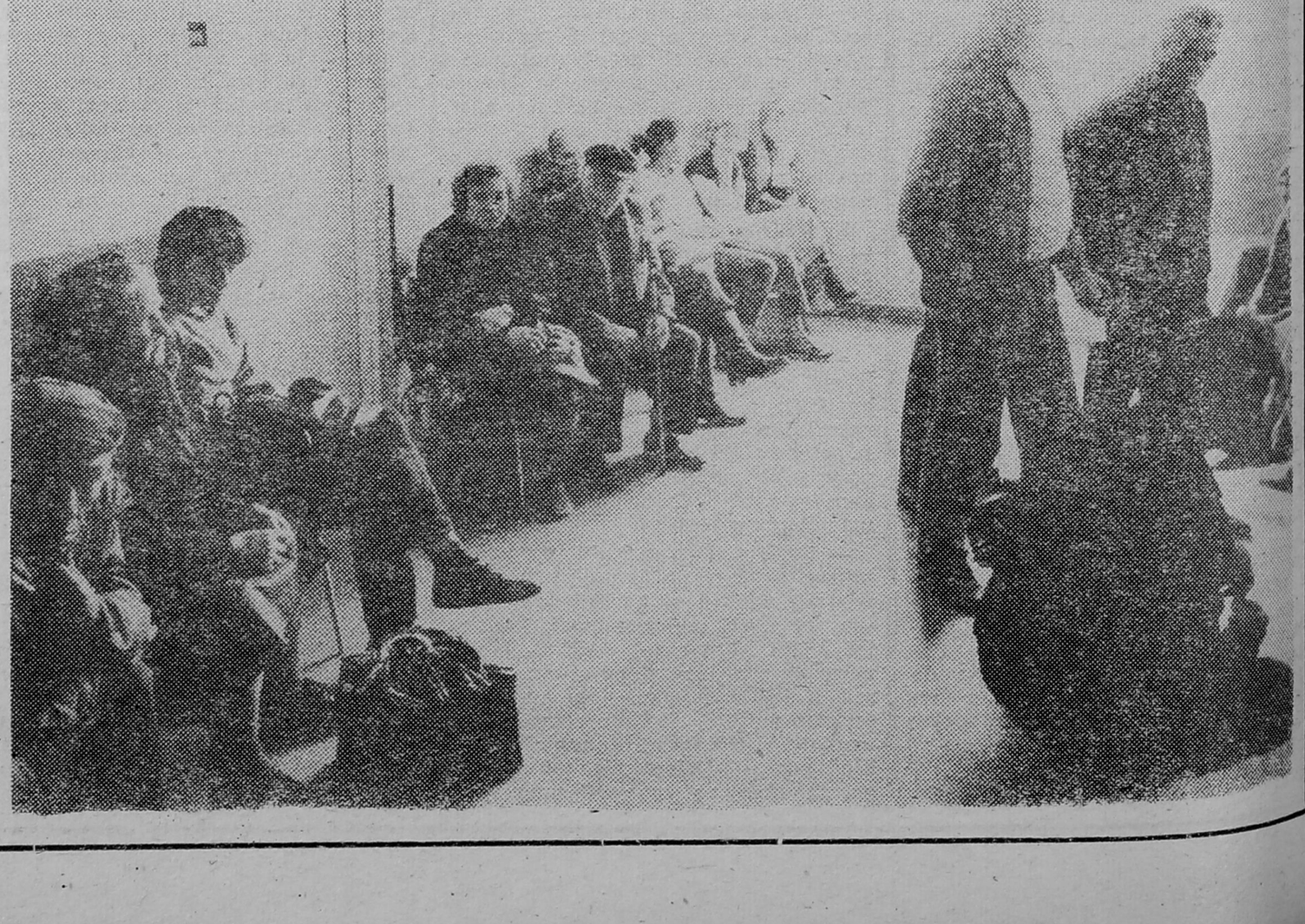

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Obawy mieszkańców są uzasadnione. Zwłaszcza w naszym województwie nie powinno być od szpitala inwestycji pilniejszej. Przecież Łomżyńskie nadal ma opinię województwa, w którym strach chorować, i to zarówno ze względu na niedobór podstawowej służby medycznej, jak i specjalistów. Pozostaje więc szukanie łaski u sąsiadów, tj. w Białymstoku czy Warszawie, a wiadomo, że wówczas trzeba czekać dłużej i prosić grzecznej. Są to konsekwencje naszego niezdyscyplinowania i niezaradności, a także braku chęci do nauki. Trzeba pamiętać, że jeśli nie potrafimy się czegoś nauczyć sami czy podejrzeć, inni nauczą nas tego w sposób brutalniejszy, wpędzając rozum przez nogi albo przez upokorzenie.

A przecież w Łomży potrafimy budować szybko. Zanim wynurzył się z ziemi w stanie surowym nowy szpital wojewódzki, w tym czasie powstał kościół pod wezwaniem Miłosierdzia, a w ciągu zaledwie miesiąca pojawił się przy ulicy Gwardii Ludowej rząd garaży. Ileż obserwowaliśmy przy tym energii i pomysłów! W jakim tempie Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane wzniosło Szkołę Podstawową nr 8?

Budowa szpitala już od pierwszych dni się ślimaczyła, podtrzymując wszystkie złe tradycje budownictwa zdrowotnego w kraju. Tylko w roku 1984 piskie Przedsiębiorstwo Budowy Obiektów Użyteczności Publicznej „Budopol" nie wykonało na łomżyńskim obiekcie robót za 63 miliony złotych, a z prac kosztorysowych — zamiast 413 milionów — zrealizowało zaledwie 350. Wykonawca tłumaczył się m.in. niedostatkiem cementu, stolarki budowlanej, rur stalowych, wapna, i zaledwie „podtrzymywał" tę budowę, by łomżyniacy widzieli, że coś się tam jednak rusza. Zatrudniał w tym czasie — zamiast 200—300 — zaledwie 20—30 pracowników, ale i ci nie mogli znaleźć tam dla siebie zajęcia, co stwierdził dziennikarz „Kuriera Polskiego": *„więcej tam łażenia, obijania się, niż rzetelnej pracy"*.

W 1984 roku załoga „Budopolu" — po wielu publikacjach prasowych, także w „Kontaktach" — zmobilizowała się. Zmienił się też kierownik budowy. Nowy potrafił na 24 hektarach inwestycji zatrudnić 200 ludzi i zaczął się nawet spieszyć, by do zimy wmontować 700 okien. Prace prowadził jednocześnie na łóżkowym bloku A, trzypiętrowym bloku operacyjnym, oddziale dziecięcym, w kotłowni, kuchni, stołówce i zwierzętarni oraz czteropiętrowym hotelu dla pielęgniarek.

Mieszkańcy Łomży określali ten postęp jednym słowem: „drgnęło". Niektórzy nawet nabierali wiary, że szpital wojewódzki uniknie budowlanych chorób choćby — wznoszonego przez 11 lat — Ośrodka Zdrowia w Kołakach Kościelnych czy Rejonowego Szpitala w Grajewie, w którym po oddaniu do użytku stwierdzono „tylko" 6000 usterek.

Przyznać trzeba, że łomżyńska inwestycja jest jedną z największych w kraju. W Wejherowie (Gdańskie) powstaje szpital na 100 łóżek, w Gryfowie Śląskim (Jeleniogórskie) — na 50, w Katowicach — na 180, w Zgierzu (Łódzkie) — na 60, w Poznaniu — na 90, w Leżajsku (Rzeszowskie) na 63, w Sandomierzu — na 350, w Toruniu — na 200. Najciekawszy pod względem architektonicznym będzie szpital w Kaliszu; najbardziej wychuchany — bo przecież zaczęty w 1971 — w Sokołowie Podlaskim.

Szpital łomżyński choćby ze względu na wielkość (wraz z psychiatrycznym — prawie 1000 łóżek) już od pierwszych dni budowy winien być przykładem dobrej pracy. Ale już pierwsze cztery ślamazarne lata zaważyły na terminie jego zakończenia. Pierwszy był przewidziany na styczeń 1986 roku. Z prawie rocznym poślizgiem szpitalne obiekty otrzymają wodę, ciepło i światło. Wewnątrz pozostaje jeszcze bardzo dużo prac wykończeniowych, łącznie ze stolarką, wykładzinami, montowaniem urządzeń. A są też budynki, które trzeba wznosić od fundamentów. Wątpliwy wydaje się więc

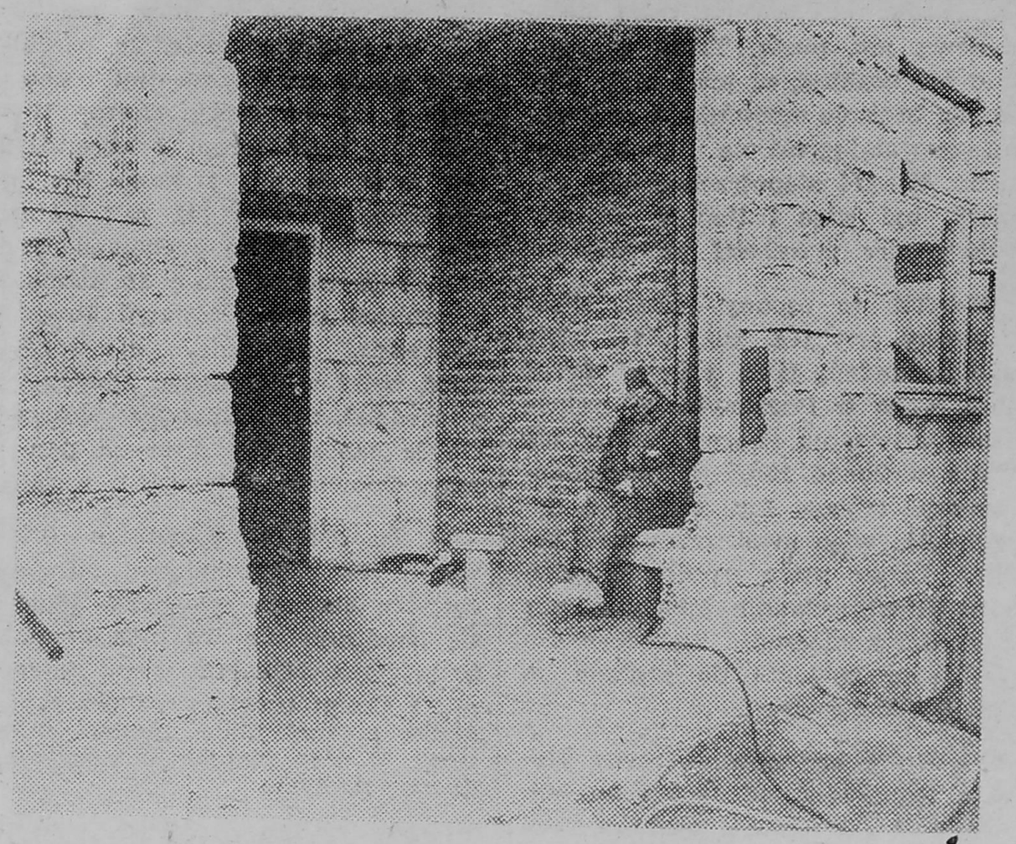

znów się rusza

i drugi termin oddania, tzn. rok 1988. Wykonawcy próbują w tę datę jeszcze wierzyć, ale inwestor już dziś stawia ją pod znakiem zapytania.

Za tym, że nowy termin może być rzeczywiście dotrzymany, przemawia ogromne zainteresowanie inwestycją władz wojewódzkich i nie słabnące tempo budowy. Jeśli jednak zważymy fakt, że w ciągu siedmiu lat wykonano tylko 40 proc. prac, to jakże można podejrzewać, że pozostałe 60 proc. nadrobi się w ciągu roku? Przy logicznych obrachunkach, tj. na 7—8 lat, łomżyński szpital-gigant otworzyłby swoje podwoje około 2000 roku. Mam nadzieję, że praktyka przekreśli tę okrutną logikę, gdyż czuwa nad tym bardzo silny sztab budowy szpitala, z wicewojewodą Edwardem Dąbrowskim na czele, który po trzy, a nawet cztery razy na jednej naradzie pyta wykonawcę i podwykonawców, kiedy zakończą poszczególne odcinki robót. Na ostatniej, z udziałem wiceministra resortu budownictwa i wojewódzkich władz partyjnych, nie rozliczał ich z wniosków z poprzednich obrad, obiecywał jednak tym dokładniej uczynić to za miesiąc. Do poprzednich wniosków dodał jednak kolejne, m.in. zobowiązujące generalnego wykonawcę do przedłożenia mu harmonogramu robót zimowych. Każdy z podwykonawców musi wytypować swego przedstawiciela do przygotowania rozruchu kotłowni, wodociągu, źródeł zasilania w energię elektryczną.

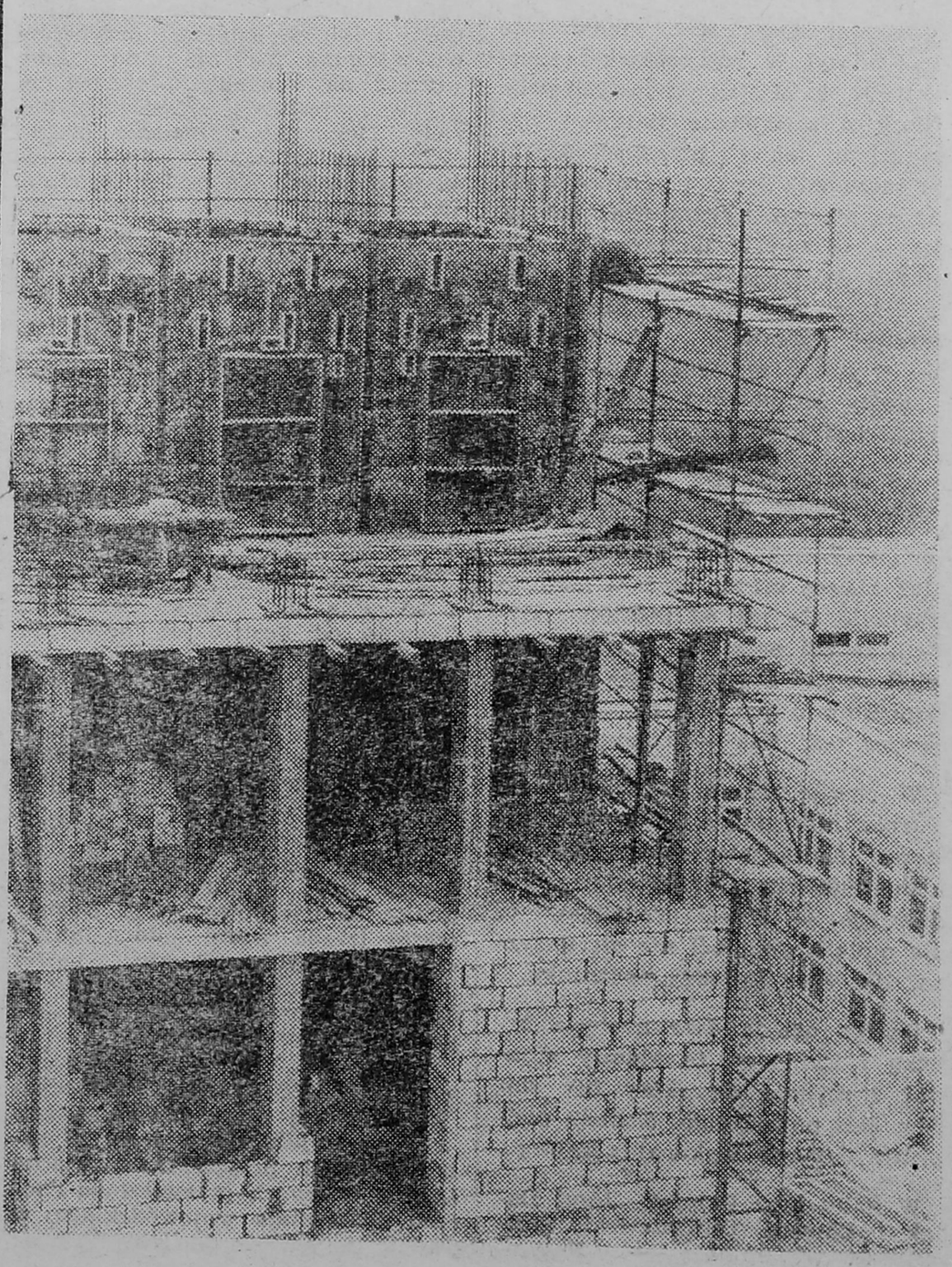

Sztab budowy mobilizuje podwykonawców; przynajmniej pamiętają o terminach! Ale zdarza się, że dopiero od szefa sztabu dowiadują się, co i gdzie mogą kupić. Oto od pierwszych miesięcy br. czekali na styropian — nie wiedząc, że znajdował się on przy ulicy Świerczewskiego, w magazynach Białostockiej Centrali Materiałów Budowlanych. A sprawa urastała już do rangi ogromnego problemu wojewódzkiego. Trzeba było tylko 180 metrów sześciennych, ale problem musiał rozwiązać wiceminister Budownictwa, Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej, Wojciech Kubiak. Otóż nie widzi on żadnej kwestii styropianowej w Łomżyńskiem, które w pierwszym półroczu otrzymało tego materiału aż 1700 metrów sześciennych. Jeśli — powiedział — uważacie budowę szpitala za najważniejszą, to przynajmniej musicie myśleć, jak przerzucić niezbędne materiały z jednego odcinka, mniej ważnego, na drugi, pierwszoplanowy. Wypowiedział też sakramentalne słowo w sprawie cementu: nie wystarczy na wszystkie budowy, ale na zakończenie szpitala musi. Województwo otrzyma 11 500 ton. Od jego władz zależy, gdzie go skieruje w pierwszej kolejności. Są w kraju kłopoty z cementem, ale trzeba go tak dzielić, by trafił do budownictwa szpitalnego, mieszkaniowego i pomocniczego (infrastruktury).

Wiceminister podpowiedział także sztabowi, aby powołał już teraz dyrektora nowego szpitala, który — jako gospodarz obiektu — dopatrzy wielu spraw, a przy okazji dopilnuje wykonawców i podwykonawców, by urządzenia montowali zgodnie z potrzebami specjalistów. Gospodarze przyjęli propozycję; sami już nosili się z podobną, bowiem rozumieją, że tak ważna budowa na każdym etapie wymaga niezwykle czujnej opieki. Ma to na uwadze również i Mieczysław Czerniawski, I sekretarz KW PZPR, który generalnemu wykonawcy, podwykonawcom i inwestorowi obiecał pomoc w przypadku wystąpienia nieprzewidzianych trudności materiałowych i organizacyjnych.

Etapy dalszej realizacji inwestycji przedstawiają się następująco: do końca br. budowlani mają oddać kotłownię, hydrofornię, obiekty towarzyszące i pralnię; w 1987 — zwierzętarnię, magazyn intendencki, warsztaty, pozostałą część trafostacji, magazyny inwentarskie; w 1988 — bloki H, A, E i D; w 1989 — pozostałe obiekty wraz z małą architekturą, drogami i zielenią.

Istnieje jednak jeszcze jedno — zupełnie od wykonawców niezależne — niebezpieczeństwo. Projekt sprzed 10 lat wymaga ciągłych udoskonaleń, a każda jego przeróbka jest bardzo kosztowna, co wcale nie znaczy, że z czasem będzie funkcjonalna.

Szpital-gigant nie ma jeszcze kadry, a brak konkretnego terminu realizacji nie pomaga w rozwiązaniu tej trudnej kwestii. Już dziś słychać w Łomży głosy, iż od tego, jaki człowiek zostanie dyrektorem nowego obiektu, z jaką zaradnością stosunkami z ośrodkami medycznymi w kraju, siłą przebicia u władz wojewódzkich i centralnych, taki będzie szpital.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

pamiętajcie

relacje

SPOKOJNA

BÓL WĄTROBY NIE USTĘPOWAŁ, więc położyła się do łóżka. Koło dwudziestej trzeciej córka podała lekarstwa. Przed pierwszą zdawało się, że dolegliwość minie, jak mijała już kilkakrotnie przedtem, ale po trzeciej dołączył żołądek. Już nie miała czym wymiotować. Zrezygnowana — leżała cichutko. O dziewiątej wystraszona córka wysłała męża, by zatelefonował na Pogotowie; w dziewięć godzin od rozpoczęcia męczarni!

Zgłoszenie było bardzo lakoniczne: ból żołądka, wymioty, nadciśnienie. Dziesięć minut później karetka pogotowia była już na ulicy Poznańskiej.

Rutynowe zajęcia dr Janiny Matuszczyk: ciśnienie, tętno. Córka chorej pokazuje wyniki poprzednich badań i recepty. Na stół wędrują zastrzyki przeciwbólowe. Po iniekcji karetka wraca do bazy.

— Tego wyjazdu mogło nie być — mówi w karetce dr Matuszczyk. — Od godziny jedenastej w nocy chora męczyła się i nikt nie pomyślał o lekarzu rejonowym. Zbyt często ze zwykłego wygodnictwa czeka się do ostatniej chwili, bo wiadomo, że jak będzie gorzej, zawsze można wezwać pogotowie. Nikt nie myśli o tym, że gdy my jedziemy do jakiejś prozaicznej choroby, gdzieś nas mogą potrzebować bardziej.

— Przypominam sobie — mówi sanitariusz Edward Tomaszewski — wyjazd pod Łomżę. Zgłoszenie: ból głowy wymioty, gorączka. Pojechaliśmy. W tym czasie wydarzył się wypadek, do którego wyjechała ostatnia karetka. W chwilę później było zgłoszenie porodu i nie miał kto pojechać. U nas okazało się, że pacjenta boli głowa po przepiciu; wystarczyły proszki od bólu głowy. A do rodzącej kobiety przybyliśmy już po fakcie: urodziła córkę w domu.

Kierownik Działu Pomocy Społecznej Wojewódzkiego Szpitala w Łomży, dr Stanisław Kuc, rozpoczął już trzynastą godzinę pracy. Czeka go jeszcze dwunastogodzinny dyżur i normalna dniówka nazajutrz, czyli 32 godziny pracy non-stop. Jego zdaniem, 85 procent wyjazdów karetki to wyjazdy niepotrzebne. Motywuje to podobnie jak dr Janina Matuszczyk. We wrześniu łomżyńskie Pogotowie wysyłało samochody 903 razy; jedna trzecia wyjazdów przypadła w godzinach przyjęć ośrodków zdrowia; w ponad dziewięćdziesięciu procentach wystarczyłyby porady i podanie środków medycznych. Wyjazdy nocne w dwóch trzecich dotyczyły pacjentów, którzy uważali, że ból przejdzie w ciągu dnia bez wizyty u lekarza. W wielu przypadkach byli to ludzie przewlekle chorzy, którzy od dawna nie odwiedzali swojego lekarza i przestali brać leki. Z tych 903 wrześniowych wyjazdów tylko w 42 przypadkach Pogotowie spieszyło do wypadków, a w 24 — do porodów.

W ciągu doby dyżuruje sześciu lekarzy i jedna położna. Dwóch lekarzy i jednego felczera zatrudnia Pogotowie na stałe. Pozostali dobrowolnie pełnią dyżury. Zespoły kompletuje się z 52 lekarzy. Pogotowie zatrudnia także sanitariuszy, pielęgniarki, dyspozytorki przyjmujące wezwania do potrzebujących pomocy.

KIEROWCY I SAMOCHODY nie podlegają kierownikowi Pogotowia, lecz Wojewódzkiej Kolumnie Transportu Sanitarnego. Karetek jest pięć, plus „R-ka". Pięć to duże fiaty, „R-ka" to przerobiona nysa. Lekarze wyjeżdżają na wezwania z noszami i torbą medykamentów. Miejsce na małą butlę tlenową jest puste. Tlenu w szpitalu nie brakuje, są też i małe butle, ale brakuje człowieka z papierami zezwalającymi na „nabijanie" tlenu. Kiedyś niepotrzebne były papiery, był więc i tlen w butlach, dziś papier przesłonił potrzeby.

Karetki to osobny temat. Niski i ciasny jest ten duży fiat. Nie spełnia zadań, jakie stawia przed nim praca w Pogotowiu. W trakcie transportowania chorego lekarz nie może wykonać żadnego skomplikowanego zabiegu (np. zastrzyku dożylnego), więc musi zatrzymać pojazd. Łatwo sobie wyobrazić wówczas zdenerwowanie lekarza, gdy zachodzi konieczność szybkiego dowiezienia pacjenta do szpitala. A jak jest z porodem?

— Kilka lat temu — mówi Marian Bronowicz, od 1960 roku kierowca Pogotowia — wieźliśmy kobietę ciężarną. Do Łomży było jeszcze kilka ładnych kilometrów, gdy zaczął się poród. Zatrzymaliśmy karetkę i nosze do połowy wysunęliśmy z samochodu. Kobieta urodziła syna, ale strach pomyśleć, co by było, gdyby stało się to zimą. Fiat to dobry samochód do jazdy, ale na karetkę się nie nadaje.

„R-ka", czyli nysa, tylko z zewnątrz sprawia wrażenie dużej przestrzeni. W środku miejsca jest niewiele więcej niż w fiacie. Wszystkie zabiegi lekarz zmuszony jest wykonywać w półzgięciu. Ma do dyspozycji tlen, respirator i zestaw AMBU do sztucznego oddychania, defibrylator do pobudzania czynności serca, przenośny aparat EKG.

W lipcu br., podczas transportowania pacjenta, doszło na ulicy Łomży do wywrotki „R-ki". Wysoko położony środek ciężkości sprawia, że samochód ten jest niestabilny. Czy wypadek ów i podobne w kraju przyczyniły się do podjęcia decyzji o zastąpieniu nysy innym pojazdem, lepiej przystosowanym do zadań, jakie mu powierzono?

Dr Stanisław Kuc wielokrotnie uczestniczył w różnorakich spotkaniach w Ministerstwie Zdrowia. Głosy o zastąpienie fiatów i nys pojazdami lepiej przystosowanymi do ratowania życia i zdrowia spełzły na niczym. Kryzys, brak pieniędzy — to zwykłe tłumaczenie. Na biurku dr. Kuca leży prospekt fiata 242; on sam mówi o radzieckiej karetce „Łotwija", produkowanej w kooperacji z Finlandią. Oglądamy prospekty i pozostawiamy temat bez komentarza.

KILKA MINUT PRZED 22.00 jesteśmy na ulicy Świerczewskiego. Bóle brzucha. Dr Mira Ołdakowska aplikuje zastrzyki. Mąż chorej mówi, że taki stan utrzymuje się już od południa. Myśleli, że ból przejdzie. Starszy człowiek spuszcza głowę, gdy lekarz wspomina o przychodni. — Tam zawsze taki tłok — odpowiada.

W chwilę potem zgłoszenie do patrolu milicyjnego. Awantura domowa. Samookaleczenie. Kobieta komentuje wizytę dr. Wiesława Wolińskiego: — Dzieci urodziłam, to dla mnie krew i ból nie pierwszyzna. Nie chcę żadnego opatrunku.

Doktor ogląda dwa nacięcia żyletką i tłumaczy, że klamry sprawią zrośnięcie się skóry bez śladów. Bez powodzenia. Kobieta podpisuje odmowę wykonania zabiegu.

W hallu Izby Przyjęć Józef Dąbek i Edward Tomaszewski, sanitariusze, wspominają. — Przyjechaliśmy do wsi — mówi pan Józef. — Było zgłoszenie, że psychicznie chory mężczyzna jest niebezpieczny, że maltretuje siostrę. Wysiedliśmy z doktorem z karetki, a ten facet do nas z kosą. Nie uciekałem, bo było już za późno. Wszyscy wkoło się pochowali. Pod kosą zaprowadził mnie do komórki i zamknął drzwi. Postawił kosę i powiedział, że mnie nie zabije. Spod belki wyjął tysiąc złotych i powiedział, bym oddał jego siostrze. On je zabrał, aby mieć na papierosy. Opowiedz, Edward, o gazie.

— To było w Kupiskach Nowych; też przyjechaliśmy po psychicznie chorego człowieka. Rzucał się niemiłosiernie. To była niemalże bijatyka. Milicjant wyjął pojemnik z gazem łzawiącym i przez pomyłkę prysnął mnie, zamiast tamtemu, w oczy. Napłakałem się wtedy za całe życie.

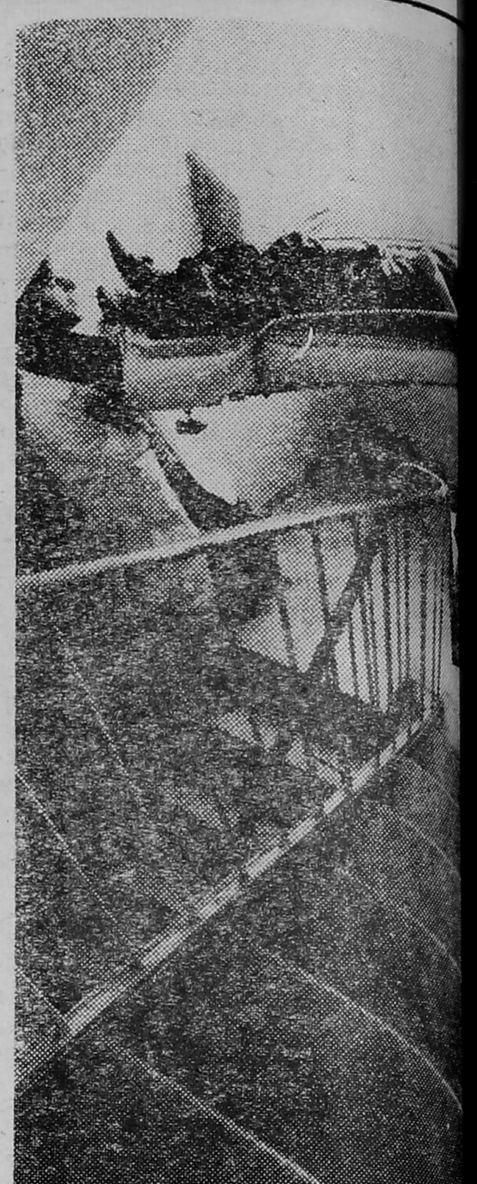

PO PÓŁNOCY WYJEŻDŻA KARETKA do wsi Mieczki w gminie Przytuły. Powód wezwania: bóle serca, duszności. Dr Mira Ołdakowska drzemie na przednim siedzeniu. Wykorzystuje każdą chwilę na odpoczynek, bo po nocnym dyżurze (od godz. 20.00 do 8.00) rano będzie przez kolejnych osiem godzin przyjmować pacjentów. Sanitariusze, pielęgniarki i kierowcy za nocny dyżur mają dobę odpoczynku, lekarze — nie. Przepisy zabraniają. Widocznie ktoś gdzieś za biurkiem doszedł do wniosku, że praca lekarza jest tak mało odpowiedzialna, iż nie przeszkadza w niej zmęczenie.

W Mieczkach światło pali się tylko w jednym domu. Starszy mężczyzna przyjechał tu aż z Wrocławia, bo lekarz zalecił mu zmianę klimatu. Ale choroba wieńcowa dała się i tutaj we znaki. Po dwóch zastrzykach karetka wraca do Łomży. Jest już po drugiej. —

Zofia Karpiuk, dyspozytorka Pogotowia, nie ma tej nocy wiele pracy. Dotychczas było osiem zgłoszeń; tylko w jednym przypadku przywieziono pacjenta do Izby Przyjęć na konsultację chirurgiczną. W pozostałych wystarczyły porady lekarskie i podanie leków. Wyjeżdżały tylko jedna—dwie karetki jednocześnie. To środek tygodnia. Bywa jednak tak, np. z soboty na niedzielę, że w nocy nie można ani chwili odpocząć. Zdarzają się takie zabawy wiejskie, na które kilkakrotnie trzeba wysyłać karetkę. I jeżeli wtedy dojdzie kilka innych zgłoszeń, w bazie nie ma żadnego samochodu. Ludzie dzwonią, wymyślają, a skąd wziąć samochód, gdy wszystkie w terenie? Tragedia jest wtedy, gdy samochody rozjadą się do spraw błahych, a zdarzy się wypadek. Pozostaje „R-ka".

W dzień dochodzą żarty dzieci, a zdarzają się także wezwania fikcyjne od beztroskich dorosłych. Karetka przyjeżdża pod wskazany adres, wszystko się zgadza łącznie z nazwiskiem chorego, tylko że nikt nie wie, kto wzywał pomocy. To są głupie kawały, które mogą kosztować innych życie lub zdrowie.

Osobną sprawą są porody. W Łomży jest jedynie trzydzieści miejsc na porodówce, więc kobiety często trzeba wozić do innych szpitali w województwie, nawet do Rajgrodu czy Ciechanowca. Są dyżury, podczas których wozi się prawie wyłącznie „porody".

W POKOJU DR. KUCA podsumowuję nocny dyżur. Karetki wyjeżdżały w nocy 16 razy; w trzech przypadkach — poza Łomżę, w dwóch przewieziono chorych do szpitala wojewódzkiego, w dwóch innych — do Izby Przyjęć Pogotowia. W trakcie dyżuru cztery osoby zgłosiły się same z bólem brzucha. Dyżur — według pracowników Pogotowia — należał do spokojnych.

Dr Stanisław Kuc pokazuje mi jeszcze swoje skarby: kilka pakietów nici chirurgicznych i bandaże. Strzeże ich jak oka w głowie. Bez tego wyposażenia i rękawic chirurgicznych nie mogłaby funkcjonować sala zabiegów.

Czy mieszkaniec Łomży może leczyć się w Białymstoku; czy profesor medycyny musi być również dobrym lekarzem klinicznym; kto nie lubi służby zdrowia? – o tych i wielu innych sprawach z dr. JERZYM GOSZCZYŃSKIM, dyr. Państwowego Szpitala Klinicznego w Białymstoku, rozmawia ANDRZEJ WIESŁAWSKI.

ANDRZEJ WIESŁAWSKI: — Panie Dyrektorze, załóżmy sobie taką oto hipotetyczną sytuację: otwierają się drzwi tego gabinetu, w którym rozmawiamy, i do środka wchodzi mieszkaniec Łomży. „Dyrektorze kochany! — mówi — Nie wierzę ja w łomżyńską medycynę, przyjechałem do pana, tutaj chcę się leczyć, a nawet umierać!" I co Pan wtedy na to?

JERZY GOSZCZYŃSKI: — Po pierwsze, powiem mu, żeby z tym umieraniem jeszcze poczekał; każdy z nas zdąży w odpowiednim czasie. Po drugie, poproszę go o skierowanie do szpitala.

– Do Pańskiego Szpitala czy tak w ogóle?

– Tak w ogóle. Skierowanie musi być wystawione przez lekarza prowadzącego pacjenta, ja zaś na podstawie rozpoznania (o ile będzie to choroba z mojej specjalności) określę, czy dany przypadek kwalifikuje się do hospitalizacji właśnie u nas.

– Za przeproszeniem, od czego to zależy?

– Bez przeproszenia zależy to wyłącznie od rozpoznanego przypadku i stopnia nasilenia jednostki chorobowej. Nasz Szpital w pierwszym rzędzie prowadzi leczenie wysoko- i wąskospecjalistyczne. Ordynatorami poszczególnych klinik są profesorowie medycyny, a więc nie możemy zajmować się byle drobiazgami, z którymi z powodzeniem da sobie radę każdy lekarz. Osiągnięcia tych ludzi często znane są nie tylko w Polsce, ale i za granicą; w niektórych dziedzinach medycyny mówi się już nawet o tzw. szkole białostockiej.

– Ja jednak mam pewne wątpliwości. Czy dobry profesor musi być również dobrym klinicystą?

– Nie, nie musi. Ale przecież profesor nie leczy w pojedynkę. Dobiera sobie najlepszą kadrę, która – mając na co dzień do czynienia ze studentami – sama ciągle musi się dokształcać, znać wszystkie obowiązujące kierunki i osiągnięcia medycyny. To sprawa ludzi, a przecież jest jeszcze sprzęt. Mamy tutaj wiele aparatów unikalnych nawet na skalę światową, znakomicie wyposażone laboratoria, dostęp do biblioteki Akademii Medycznej. W szczególnie skomplikowanych przypadkach możemy się też zwracać o pomoc do uczelnianych zakładów teoretycznych, np. do profesora Buluka, który w dziedzinie endokrynologii należy do największych sław na świecie. Czy zatem możemy się zajmować niestrawnością żołądka?

– Niby nie, ale w Łomży czasem i z leczeniem owej niestrawności bywa dosyć ciężko...

– Na temat łomżyńskiej służby zdrowia głosu zabierał nie będę, chociaż gdyby tam było lepiej, to i nam byłoby lżej. Przygotowałem sobie takie zestawienie; Klinika Chirurgii Szczękowej: blisko jedna piąta wszystkich naszych pacjentów w ubiegłym roku pochodziła właśnie z Łomżyńskiego.

– Przecież w Łomży nie ma chirurgii szczękowej.

– Nie ma i chyba nigdy nie będzie, zgoda. Ale, powiedzmy, interna: prawie 10 procent łóżek zajmowali łomżyniacy. Procentowo, w stosunku do ilości mieszkańców, to chyba trochę za wiele. Obsługujemy jeszcze przecież Suwałki i Olsztyn, w sumie cztery województwa, a i pacjentów z całego kraju też nam nie brakuje.

– Może ludzie pchają się do Pana drzwiami i oknami dlatego, że ma Pan lepsze warunki, wyższe stawki żywnościowe, wygodniejsze łóżka szpitalne?

– Muszę pana rozczarować: u mnie nie ma żadnych specjalnych wygód. Do tych ośmiuset kilkunastu łóżek zwykle dostawiamy jeszcze setkę; chorzy też, bywa, leżą na korytarzach. A co do stawek i w ogóle finansów, to teraz nie ma już norm; trzeba dobrze pisać, dobrze motywować potrzeby i pieniądze przeważnie się dostaje. Być może mamy ich trochę więcej niż w innych szpitalach, ale czy pan wie, ile dziennie kosztuje jeden pacjent leżący w oddziale reanimacji?

– Nie wiem i wiedzieć nie chcę. Mam nadzieję, że osobiście nigdy Pana nie obciążę takimi kosztami; nie chciałbym w każdym razie. Wróćmy jeszcze do spraw Łomży...

– Za pozwoleniem, jeśli już, to ja sam będę wracał. Chciałem powiedzieć, że nie tylko mój szpital leczy łomżyniaków, ale także Wojewódzki im. Jędrzeja Śniadeckiego ich przyjmuje do swoich oddziałów. My, proszę pana, jesteśmy lekarzami i nie ma dla nas żadnego znaczenia to, gdzie się kto urodził ani gdzie mieszka.

– Muszę Panu wierzyć, aczkolwiek robię to z pewnymi oporami. Dosyć często słyszy się o lekarzach, oględnie mówiąc, niezbyt uczciwych.

– Rozumiem i bardzo proszę, żeby pan dokładnie zanotował to, co teraz powiem. W całym społeczeństwie, we wszystkich grupach zawodowych, są ludzie porządni i świnie, uczciwi i złodzieje. Zdumiewa mnie jednak fakt, że tak często, zwłaszcza ostatnio, krytykuje się lekarzy. Po morderczych studiach człowiek idzie do wyjątkowo ciężkiej pracy za (co tu ukrywać) parszywe pieniądze.

– Aż tak źle?

– Nawet jeszcze gorzej! Cała służba zdrowia pod względem finansowym jest... brakuje mi słowa. Przez wiele lat szukałem kierowniczka pralni do swojego szpitala. Znalazłem w końcu, ale człowiek popracował rok i odszedł. Wie pan, dlaczego? W pralni miejskiej dostał pobory dokładnie dwa razy większe. Czy to nie paranoja?

– Paranoja. Wróćmy jednak do wątku lekarzy.

– Otóż odnoszę wrażenie, że ostatnio w środkach masowego przekazu organizowana jest jakaś nagonka na służbę zdrowia. Pijak oskarżył lekarkę o napad (!) i od razu wielkie „halo" na cały kraj: „Uwaga, w pogotowiach biją i okradają chorych ludzi!" A takich przykładów można wymienić więcej. Ciekawe, kto to robi i po co? W ostatecznym rachunku traci na tym całe społeczeństwo.

– Wszyscy traktujemy lekarzy trochę inaczej niż innych ludzi. Człowiek, który w pewnych sytuacjach trzyma w ręce życie innego człowieka, nie jest takim zwyczajnym człowiekiem. Wróćmy jednak do spraw łomżyńskich.

– Już nie będziemy wracać. Łomża od dziesięciu lat ma swoje władze medyczne, które za wszystko tam odpowiadają, więc proszę z nimi rozmawiać. Ja już muszę pana przeprosić. Jestem nie tylko dyrektorem, ale również lekarzem. Słowem: dość gadania, trzeba się brać za pracę.

– W takim razie jeszcze tylko ostatnie pytanie. Kim pan lubi być bardziej: dyrektorem czy lekarzem?

– Lubię być lekarzem... co ja mówię! Kocham być lekarzem. To jest najpiękniejszy zawód na świecie. Gdybym nie mógł być tutaj lekarzem, nawet przez sekundę nie byłbym dyrektorem.

– Dziękuję za rozmowę. Szkoda, że jest Pan położnikiem. Ponieważ jestem mężczyzną, jako pacjent nigdy do Pana nie trafię.

LUBIĘ BYĆ LEKARZEM

spięcia

Przedsiębiorstwa budowlane dogorywają z powodu braku cementu. Budownictwo indywidualne również, tyle że niedawno ruszyły zaległe dostawy do gminnych spółdzielni. Rolnik zimą nie buduje, nie będzie też kupował i przetrzymywał cementu do wiosny z obawy przed skamienieniem. Z jednej strony będzie więc leżał materiał, z drugiej — pozbawieni go budowlańcy. Plan zostanie jednak wykonany na mur-beton!

*

Producent-rekordzista żywca baraniego z Gardlina (gmina Zambrów), który na własną rękę znalazł zbyt na niechcianą baraninę, nie może jej sprzedać, ponieważ służby weterynaryjne odmówiły wykonania badań w zagrodzie. Zapewne wszystko jest zgodne z paragrafem. „Posłuszeństwo względem złych przepisów — to najlepszy sposób ich utrwalania."

*

Na zakończenie sezonu turystycznego restauracja „Jaćwieżanka" w Rajgrodzie z całą świadomością zaserwowała klientom zepsute piwo, które przejęła od ajenta jednego z ośrodków wypoczynkowych, ratując go tym samym przed stratami. Komu się odbije?

*

Członek Spółdzielni Mieszkaniowej „Perspektywa" w Łomży, który ze względów osobistych zrezygnował na razie z proponowanego mieszkania, otrzymał pismo, w którym Spółdzielnia grozi, że jeśli nie weźmie lokalu w tej chwili, zostanie skreślony z listy. Zapowiada też, że będzie konsekwentna. To nam się podoba — z zastrzeżeniem, że konsekwencja doprowadzona do szczytu konsekwencji zawsze jest tylko absurdem.

*

W soboty i niedziele dyżur pełni w Łomży tylko część sklepów spożywczych. W związku z tym na drzwiach niektórych z nich pojawiły się takie oto informacje: „Czynny na zmianę ze sklepem nr 2". Gdzie znajduje się nr 2? W którą niedzielę jest czynny? Nie wiadomo. Znowu ktoś liczy na „Wolną Europę"?

*

Zespół „Spółdzielczego Tygodnika Mleczarskiego" poinformował, iż o zmianie redaktora naczelnego dowiedział się z... prasy. Na marginesie tego wydarzenia snuje refleksje na temat mniemania, że tego rodzaju praktyki już przebrzmiały. Oczywiście. Powrotu nie ma, ale jest przecież echo.

*

„To się nadaje do «Spięć»" — pod hasłem tym ogłaszamy nieustający konkurs na informacje o marnotrawstwie, bezduszności, głupocie, nieuczciwości i wszelkich innych przejawach zła trapiącego nas na co dzień. Na autora najlepszego sygnału tygodnia co tydzień czeka nagroda w wysokości 500 złotych (nazwisk autorów nie ujawniamy!). Już za dwa tygodnie pierwsze rozstrzygnięcie. Czekamy na listy i telefony (ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża, tel. 42-43 lub 42-44)

NA STRAŻY RODZINY?

POŚLIZGI

W pięknym mieście nad Narwią żyła sobie Babcia. Mieszkała wraz z wnuczkiem, jego żoną i dwojgiem prawnucząt w spółdzielczym mieszkaniu. Dni jej złotego wieku upływały pogodnie i szczęśliwie.

Atoli pewnego razu Babcia, być może nieco zmęczona swawolami prawnucząt, postanowiła przeprowadzić się do wnuczki, u której spodziewała się znaleźć więcej spokoju i ciszy.

Cóż, życzenie Babci — rzecz święta. Wnuczek, rad nierad, powędrował z jej dowodem osobistym do biura meldunkowego, aby załatwić niezbędne formalności. Nie chciał, aby Babcia mieszkała w miejscu, gdzie nie jest zameldowana, a tym samym uniknęła podejrzeń o włóczęgostwo i pasożytniczy tryb życia.

Nie tak dawne są jeszcze czasy, kiedy cały ten proceder polegał na wypełnieniu jednego druczka o zameldowaniu w nowym miejscu, a resztę załatwiali urzędnicy. Swiat jednak się zmienia. Kryzys, który uszkodził gospodarkę, nie tknął, a wydaje się, że nawet umocnił biurokrację, która — by mieć rację istnienia — musi odgradzać się od petentów coraz to wyższym, papierkowym murem.

Tak więc wnuczek dowiedział się, że Babcię należy najpierw wymeldować, na co niezbędna jest zgoda Zarządu Spółdzielni Mieszkaniowej.

Porządek musi być — powiedziała pani w administracji spółdzielni. — Babcia ma złożyć podanie z odpowiednią motywacją. Podanie zostanie zaewidencjonowane i drogą służbową przesłane do zarządu spółdzielni. Ten może wyrazić zgodę na wymeldowanie Babci. Jeżeli jednak jej argumenty nie będą dostatecznie przekonywające, może takiej zgody nie wyrazić.

„W feudalizmie chłop był przywiązany do ziemi — przypomniał sobie wnuczek z lekcji historii — teraz widocznie Babcia jest przywiązana do mieszkania." Podanie jednak złożył. Udało mu się nawet nakłonić urzędniczkę spółdzielni, aby popełniła służbowe przestępstwo i miast wysłać podanie pocztą, dała mu je do ręki. Z podaniem pomknął do prezesa spółdzielni.

— Sprawa jest trudna — rzekł prezes, spożywając rybną konserwę. — Zarząd zbiera się raz na miesiąc. A poza tym Babcia zamieszkuje w lokalu M-5 jako osoba piąta, wymeldowanie więc jej spowoduje, że pozostali domownicy będą mieli za dużą przestrzeń życiową, co jest niezgodne z przepisami.

— Ależ to jest mieszkanie własnościowe — tłumaczył się wnuczek — a we własnym mieszkaniu przepisy dopuszczają takie rozpasanie przestrzenne.

Sprawa w końcu zakończyła się happy-endem. Prezes okazał się też urzędnikiem niezdyscyplinowanym i nie czekając na zgodę zarządu, podanie podpisał, co niewątpliwie wytknie mu niebawem któraś z licznych kontroli.

Tak więc za sprawą niesumiennej urzędniczki i samowolnego prezesa Babcia może legalnie przeprowadzić się do wnuczki. Nie grozi jej już grzywna i więzienie za niedopełnienie obowiązku meldunkowego.

Tym, którzy nie kochają staruszek, nasunie się pewno, po wysłuchaniu tej opowieści, sposób na pozbycie się niewygodnej babci. Najlepiej wysłać ją, by spróbowała sama dopełnić formalności, które załatwił kochający wnuczek. Trudów z tym związanych wątły organizm na pewno nie wytrzyma. Przypuszczalnie znacznie wówczas wzrosną szanse uzyskania zgody zarządu spółdzielni na wymeldowanie.

Na zupełnie straconej pozycji stoi natomiast niewierny małżonek, który chce się wyprowadzić — na przykład: do kochanki — a w aktach spółdzielni figuruje jako główny najemca mieszkania. O wymeldowaniu nie ma nawet co marzyć.

Prawo stoi na straży trwałości rodziny. Najlepiej, jeśli jest to rodzina pełna, wielopokoleniowa — rodzina z babcią.

WIESŁAW WENDERLICH

POBOCZA

Nie, to nie jest spóźniony ukłon w stronę braci kolejarskiej, która świętowała tradycyjnie w drugą niedzielę września. Nie będzie to również gawęda historyczna o tak dobrze znanych starszym łomżyniakom kolejkach wąskotorowych. Dystansuję się też zdecydowanie wobec jednego ze znaczeń słowa „kolejka", podawanych w słownikach: *„kolejna porcja wypitego trunku"*. Robię to tym mocniej, że władze finansowe po raz drugi w tym roku postanowiły wpłynąć na ograniczenie spożycia alkoholu. Tak na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że podcinają gałąź, na której siedzą, ale ja jestem spokojny — nowy minister wie, co robi, zwłaszcza że z naszego makroregionu pochodzi.

No, teraz już nie może być wątpliwości, o jakich kolejkach będzie mowa: dłuższych i krótszych, ze stołeczkami i bez, dziennych, nocno-dziennych i nocnych, społecznych (z zapisami) i nie zorganizowanych, wewnętrznych (znaczy się — w lokalu), placowych, chodnikowych, a nawet klatkowych (patrz: kolejki nocne), mono- i wielotowarowych uprzywilejowanych i pospolitych, ulicznych, osiedlowych, ogólnomiejskich, a nawet i ogólnowojewódzkich (dowód to postępującej integracji). Ale to tylko niektóre kategorie podziału według kryteriów obiektywnych, mierzalnych i sprawdzalnych. Niech się nimi zajmują docenci, bo przecież „stacza" (ciekawe czy ten termin zaakceptują językoznawcy; też chyba, do licha, stoją w kolejkach) bardziej interesują takie parametry, jak: szybkość posuwania się ogonka, warunki terenowe (pod górkę czy z górki), klimatyczne, usytuowanie względem punktów usługowych (można zająć miejsce w innej jeszcze kolejce), miejsc gaszenia pragnienia (dla panów), kościoła (materia z duchem, duch z materią), kiosków (też mogą coś rzucić), deptaków z płcią nadobną (w tym przypadku żona winna pozwolić ślubnemu na poobiednią drzemkę). Skończmy i tę wyliczankę, bo to także temat na poważną rozprawę socjologiczną.

Powiem szczerze w ulubionej tonacji: pogorszyło się. Kiedyś

KOLEJKI

to były kolejki! Pamiętacie te serpentyny czekających na coś, co może dowiozą? A wszyscy rozgadani, oczytani i osłuchani, każdy z receptą na rychły dobrobyt. Przy tym pełny przekrój wiekowy, zawodowy, prestiżowy; nawet prezes z sąsiedniego bloku przychodził do naszej kolejki, bo bał się, że go posądzą o zerwanie kontaktu z masami. Dziś zdarzy się i serpentyna „staczy", ale mrukliwi jacyś, bardziej skorzy do bójki niźli do snucia programów uzdrowienia gospodarki. Przed laty znajomy propagował zakładanie uniwersytetów kolejkowych, teraz na zawodówkę nie ma szans. A i życzliwości nie doświadczysz; nikt nie doradzi, na stołeczek nie zaprosi. Chlubny wyjątek stanowią ogonki po papier toaletowy, gdzie o żart łatwiej i o dwuznaczność. Tempo tu szybkie, a szczęśliwcy odchodzą niemal jak zwycięzcy etapów kolarskich — z rulonem na szyi.

Zapytacie Państwo, po co wypisuję te banalne prawdy. Przepraszam, każdemu może zdarzyć się kiepski dzień. Wczoraj uległem biadoleniom połowicy i powlokłem się do kolejki z książką do czytania dwiema kanapkami, w ciepłym odzieniu, bo popołudnie zapowiadało się chłodne. Pełna kompromitacja: byłem piąty! Zdarza się i tak.

SWOJAK

P.S. Wiadomość z ostatniej chwili. W takie można wierzyć, można nie wierzyć. Faktem jest jednak, że rozeszła się po naszym osiedlu opowieść o bliskim już ponoć ślubie pary z kolejek. Przed sklepem meblowym się niegdyś poznali, potem spotykali się regularnie przy spisywaniu listy na zakup lodówki, miłość wyznali sobie na nocnym dyżurze „za glazurą" (proszę zauważyć, jak im stopa rośnie). Nieco wredny sąsiad twierdzi, że to związek wyrachowany, bo tylko patrzeć, jak ona zyska uprawnienia do kupowania wędlin poza kolejnością. Oj, złośliwcy, złośliwcy!

Rys. Marka Polańskiego

reklama

O łapówkarstwie dotąd nie wypowiadałam się publicznie, gdyż jako osoba w tej dziedzinie nie praktykująca, ba, nie będąca nawet bezpośrednim obserwatorem czy świadkiem zjawiska, nie czułam się dostatecznie rzetelnie doinformowana. Notabene: niewiele bardziej skłonni do dzielenia się swymi doświadczeniami są praktykujący: mimo ponawianych zachęt do zwierzeń, a nawet prowokacji ze strony prasy (vide: niezbyt rewelacyjne efekty niedawnej akcji „Kuriera Podlaskiego”). Tusz pod długopisem poczułam dopiero po przeczytaniu dwóch felietonów: Wojciecha Markiewicza „Dowody wdzięczności” („Polityka” nr 35) i Swojaka „Kwestia nieco wstydliwa” („Kontakty” nr 39). Swojak wyznaje, iż nie jest biegły w materii, jako że znajduje się dopiero na etapie podejrzeń i zdumień, lecz ośmielił go głos red. Markiewicza. Wojciecha Markiewicza znam wprawdzie dość powierzchownie, lecz wydaje mi się, że choć swój felieton obdarzył nadtytułem „Mały poradnik łapówkodawcy”, wiedzy o łapownikach i smarownikach nie zdobywał w ciągu wieloletniej praktyki, lecz przez wysłuchiwanie relacji bliższych i dalszych znajomych; mniej i bardziej wiarygodnych.

W nie zbadanej metodami naukowymi dziedzinie łatwo zostać ekspertem: wkrótce po publikacji felietonu red. Markiewicz został zaproszony przez „Klub Trójki” jako specjalista łapówkolog. O tym, „kto, komu, co i w jaki sposób” red. Markiewicz i inni powiedzieli sporo i zwykle mnożenie przykładów nie wydaje mi się celowe. Chciałabym natomiast złożyć delikatny protest w dwóch kwestiach. Po pierwsze: przeciw skrajnościowym zapędom, które powodują, że każdy prezent zaczyna cuchnąć przestępstwem. Otóż w dyskusji radiowej Wojciech Markiewicz uznał za moralnie podejrzane wręczanie przez dzieci nauczycielom kwiatków na początek roku szkolnego lub Dzień Nauczyciela, argumentując to analogią do koperty ofiarowanej lekarzowi przed operacją, by zapewnić jej lepszy wynik. Koniak po udanej operacji wydał się red. Markiewiczowi i jego rozmówczyni, Monice Olejnik, bardziej „moralny” niż kwiaty dla nauczyciela nawet na koniec roku, bo przecież uczeń wraca po dwóch miesiącach do szkoły, a pacjent do chirurga — nie zawsze. Idąc tym tokiem myślenia — nauczycieli należałoby potępić jeszcze bardziej, gdyż wpajają dzieciom m.in. zwyczaj obdarowywania kwiatami matek i babć za ich trud, serce i uśmiech włożone w wychowanie pociech, co można także traktować jako wołanie o jeszcze większy wysiłek i oddanie. Aby nie dojść do absurdów postuluję, byśmy mimo wszystko obdarowywali się kwiatami i uśmiechami dowolnie, bez specjalnych powodów i ze szlachetnych pobudek.

Druga kwestia to pewien pogląd, który jak leitmotiv przewija się przez różne enunciacje, niekoniecznie prasowe, jakoby łapówkarstwo stanowiło niemal nieuchronną konsekwencję niedostatków dóbr konsumpcyjnych w naszym kraju. Im dłuższe bowiem stawały się kolejki lub listy na mieszkania spółdzielcze, meble, dywany, wędliny czy rowery, tym bardziej niecierpliwili się oczekujący, a najbardziej prawdopodobnie ci, których dodatkowo uciskał zbyt wypchany portfel. Zaczęli oni szukać dróg „dojścia”. Żeby się tą wąską, bo obwarowaną przepisami i paragrafami dróżką prześliznąć, trzeba smarować: w pieniądzach, naturze lub ekwiwalentnej wymianie „grzeczności”. Zjawisko „smarowania” urosło już jakoby do gigantycznych rozmiarów i szybko nie zginie, ponieważ kłopoty z zaopatrzeniem to nasza specjalność.

MORALNE SMAROWANIE

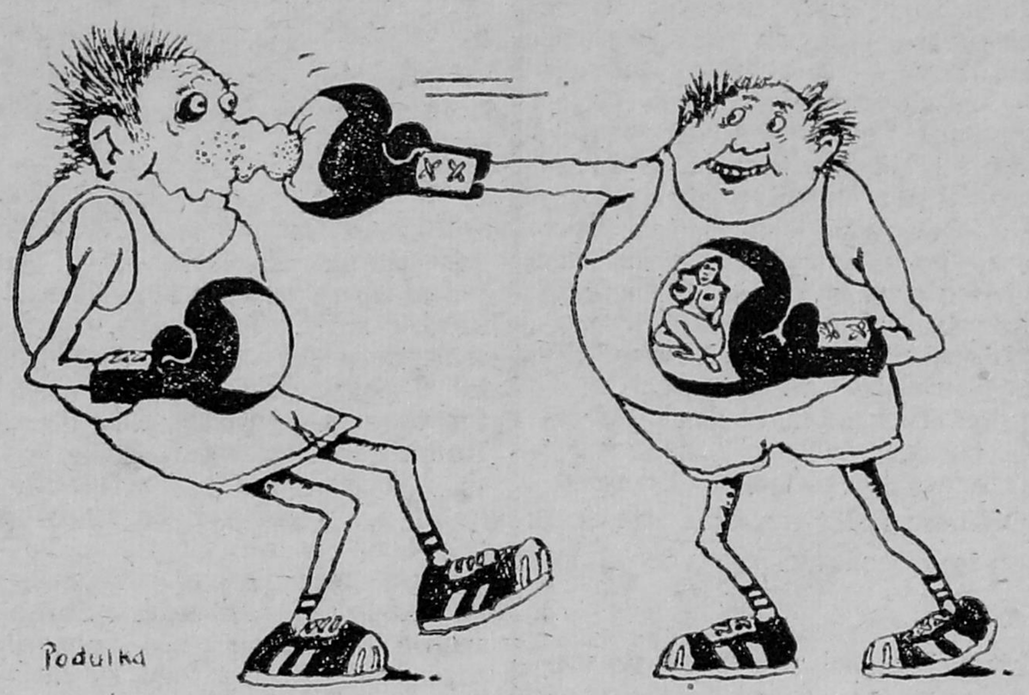

Tym założeniom przeczy jednak historia oraz statystyka. Ale ta mówi nam jedynie o przypadkach ujawnionych. Rzecz zadziwiająca: ilość spraw karnych o łapówkarstwo zarówno przed 1969 r., kiedy i przepisy były inne, i stan gospodarki diametralnie różny, jak i teraz, kształtuje się na nie zmienionym poziomie — około 600 rocznie.

Pesymiści twierdzą, że tylko jakiś kataklizm mógłby rozwiązać ten problem skutecznie. Już jedna awaria elektrowni atomowej wywarła pozytywne skutki w tej dziedzinie. Inżynier Z. z Łomży mógł się o tym przekonać osobiście. Ponieważ prowadzi w mieście wojewódzkim poważną inwestycję państwową, ruszył w lipcu br. dobrze znanym szlakiem na Śląsk, by pozyskać trochę stali itp. drobiazgów. Do torby podróżnej wrzucił szczoteczkę do zębów, zmianę bielizny i parę kilo węgorzy. Gdy interes pięknie się już „nawijał”, wyciągnął tradycyjny atut. Wtedy okazało się, że mazurski węgorz na Śląsku nie bierze: „Radioaktywny” — usłyszał wytłumaczenie. Dopiero gdy zgodził się degustować jako pierwszy, poszli w jego ślady i inni, odkażając się sprawdzonym w działaniu i absolutnie czystym płynem. Tydzień później jechał nad mazurskie jeziora na urlop; niezupełnie wypoczynkowy, gdyż z szefem z Centrali. Szef każdą złowioną płotkę czy okonia badał licznikiem Geigera. Inżynier głośno nazwał to nadmierną ostrożnością; wystarczyłoby przecież zbadać cały połów jednorazowo.

Oczywiście, w ograniczaniu i stopniowej likwidacji łapownictwa istnieją bardziej bezpieczne od „atomowych” rozwiązania. Uczciwym, lecz słabym proponuję metodę zastosowaną przez naczelnika gminy R. Przyjmowany przez niego rolnik do podania o ciągnik dołączył kopertę. Naczelnik wziął ją, przeszedł do sekretariatu i w obecności oczekujących petentów polecił sekretarce: „Pani Zosiu, pana D. stać nie tylko na ciągnik, lecz i na datek na jakiś szlachetny cel. Myślę, że możemy mu pomóc. Proszę przelać te 50 000 na konto Centrum Zdrowia Dziecka”. Taki jeden spektakularny gest zapewnia opinię nieprzekupnego i skutecznie chroni przed ponownymi pokusami.

Tym, którzy bez brania i dawania obejść się jednak nie mogą, proponuję dość bezpieczną i korzystną wersję: obdarowywanie się na zasadzie „łańcuszka św. Antoniego”. Prostota i skuteczność działania mechanizmu sprawdziła się tej wiosny podczas tzw. gry w listę. Pierwszy śmiałek inwestuje w dwa koniaki (ewentualnie dwie bombonierv czy wiązki bananów), przesyła je dwu osobnikom, którym chce się „odwdzięczyć” i wpisuje się — jako ostatni — na listę. W instrukcji zamiast „tysiąc zł” — jak w grze w listę — piszemy: „dowolny prezencik”. Genialność tej metody polega na tym, że dający ma dowód na piśmie, a biorący wie od kogo, i wszystko jest legalne, gdyż ma znamiona gry.

Niezorganizowana i karłowata forma tej metody wydaje się już istnieć: mgr F. otrzymał od wdzięcznego petenta bombonierę. Kiedyś podobną ofiarował komuś godnemu i nigdy smaku tych czekoladek nie poznał. Skusił się więc. Widok wyschniętych i zszarzałych pomadek skierował jego spojrzenie na datę produkcji: 1982. Trudno przypuszczać, by tak deficytowy towar zalegał w magazynach blisko 4 lata, musiał więc odbyć wiele ciekawych peregrynacji. I tylko bombonierа wie, czy służyła jako niewinny prezent, czy jako łapówka. Jedno jest pewne: do magistra F. trafiła jako towar moralnie zużyty.

KAROLINA

Rys. Andrzeja Podulki

---

ujrzała jak gdyby w zupełnie nowym świetle. Z trudem odganiała od siebie uporczywie nawiedzającą ją myśl, że Marsden jest po prostu kabotynem, zręcznie ukrywającym przed nią swoje prawdziwe oblicze. Dopiero teraz pewne drobne z pozoru wydarzenia, jakie miały miejsce w trakcie ich krótkiego pożycia, nabierały o wiele głębszego znaczenia. Czy aby na pewno przez przypadek znalazł się w spelunce zwanej barem „Pod Topolami?” Czy całując tak namiętnie Jilli, rzeczywiście składał jej tylko gratulacje z okazji zaręczyn? Czy domagając się od niej pieniędzy... nie, tego pytania nie chciała i nie mogła samej sobie zadać, bo przecież mimo wszystko nadal kochała Grega.

Już w kilka minut po programie, kiedy stało się jasne, że następnego nie będzie, bo nie ma takiej telewizji na świecie, która bez obawy o własną reputację zechciałaby nadać bodaj tylko dwie takie audycje w roku, do studia zadzwoniła sekretarka Maxwella, wyznaczając Marsdenowi spotkanie z szefem. Fakt ten sam w sobie był wystarczająco sensacyjny; boss największego w Australii domu mody, właściciel kilku fabryk tekstylnych, niezliczonej ilości sklepów i sklepików, nigdy nie rozmawiał ze swoimi pracownikami. Zajęty kolekcjonowaniem obrazów malarzy żyjących w średniowieczu, zdawał się nie mieć czasu i głowy do prowadzenia interesów. Z rzadka podejmowane przez niego decyzje dotyczyły niemal wyłącznie spraw personalnych, przy czym zwalniał lub przyjmował ludzi nie oglądając ich na oczy.

Greg zjawił się u niego w gabinecie punktualnie z wybiciem godziny jedenastej. Panna Murphy, sekretarka przypominająca z wyglądu mumię Amenhotepa, bez słowa wpuściła go do środka.

Magnat, siedząc w głębokim fotelu, pilnie studiował katalog z kolorowymi reprodukcjami dzieł mistrzów pędzla, którzy już dawno pożegnali się z urokami tego świata. Był to zwalisty mężczyzna, z kwadratową głową ozdobioną krzaczastymi brwiami i mocno zarysowanym podbródkiem, świadczącym o stanowczości oraz sile charakteru. Na widok Grega odłożył katalog.

— Mój chłopcze — powiedział niespodziewanie łagodnie. — Mam wiele szacunku dla twojej żony, więc musimy sobie porozmawiać. Siadaj.

Greg usiadł na krzesełku, trochę zaskoczony, ale przede wszystkim uspokojony, bo prawdę mówiąc spodziewał się gorszego przyjęcia. Gdyby jednak wiedział, co go tutaj jeszcze czeka, z pewnością nie cieszyłby się na zapas.

— Zawsze mi się wydawało, że dobrze znam panią Harper — Maxwell z naciskiem wymienił nazwisko pierwszego męża Stefanii — ale teraz nie jestem już tego taki pewny. Jak to się stało, że ona wyszła za ciebie?

Marsden uśmiechnął się słodko, na wszelki wypadek. To pytanie równie dobrze mogło oznaczać pochwałę jego przedsiębiorczości, jak i naganę skierowaną pod adresem Stefanii za to, że wybrała właśnie jego.

— No tak — przemysłowiec widząc reakcję Grega pokiwał głową — oszalała! Jaka to zdrowo myśląca kobieta, dobrowolnie poszłaby z tobą do ołtarza? Człowieku, kim ty właściwie jesteś?

A właśnie, pieniądze! Temat ten był wystarczająco drażliwy, żeby Stefania nie mogła o nim zapomnieć. Już tylko sam fakt, że ona je miała, a Marsden nie, nosił w sobie zarzewie nieuniknionego konfliktu, ponieważ mężczyzna żyjący z pieniędzy żony, czuje się mężczyzną tylko w połowie. Tak przynajmniej zawsze mówiło się w jej rodzinnym domu. Istniał więc problem, który należało rozwiązać możliwie szybko, zanim nie doprowadzi on do nieodwracalnych zmian w organizmie ich małżeństwa, które w kilka tygodni po ślubie zaczynało niebezpiecznie pękać, ukazując rysy w takich miejscach, w jakich Stefania najmniej mogła się spodziewać. Biła się więc i myślami i nie wiedziała, co właściwie powinna zrobić. Finansowanie pomysłów Grega byłoby, oczywiście, czystym szaleństwem, zresztą, coś takiego w ogóle nie wchodziło w rachubę, ze względu na brak wolnych pieniędzy. Co najwyżej mogła sprzedać pewną nadwyżkę akcji ze swojego pakietu, zyskując w ten sposób nie więcej niż jakieś dwieście tysięcy, a także realną możliwość utraty kontroli nad przedsiębiorstwem, jeśli przypadkiem dostałyby się one w ręce jakiegoś rekina finansjery, posiadającego już wcześniej plik akcji firmy Harper Mining.

Najlepszym wyjściem z tej sytuacji byłoby znalezienie Gregowi jakiegoś zajęcia, które z jednej strony mogłoby zaspokoić jego ambicje, z drugiej zaś dałoby mu niezależność finansową lub też przynajmniej jej pozory. Stefania przy swoich koneksjach i licznych, mniej lub bardziej formalnych powiązaniach ze światem biznesu, bez trudu mogła to załatwić, pozostawało jednak pytanie zasadnicze: jaki rodzaj pracy będzie w stanie usatysfakcjonować Marsdena? Proponowała mu już wcześniej objęcie stanowiska prokurenta w jej firmie i dobrze pamiętała, w jaki sposób zareagował na tę propozycję.

Był też inny jeszcze problem, natury bardziej delikatnej. Stefania poznała już na tyle swojego męża, żeby wiedzieć, że to nie ona powinna starać się mu o pracę, a w każdym razie Greg niczego nie może się domyślać. Byłoby najlepiej, gdyby szef jakiejś firmy zwrócił się do niego bezpośrednio z propozycją współpracy. Wówczas ambicje Marsdena zostałyby podwójnie uhonorowane, bo człowiek, którego potrzebują inni, jest jak gdyby człowiekiem w dwójnasób.

Mniej więcej po tygodniu intensywnych poszukiwań Stefania trafiła wreszcie na to, czego — jej zdaniem — Gregowi było akurat potrzeba. Załatwienie wszystkich formalności zajęło jej w sumie kilka godzin, zaś przy tej okazji — trzeba to wyraźnie powiedzieć — pakiet jej akcji uległ, niestety, poważnemu odchudzeniu, bo w świecie biznesu nic nie ma za darmo i jeśli ktoś już robi zły interes, to przynajmniej musi na nim nieźle zarobić. Operację tę przeprowadziła bez wiedzy Nowlidge'a, słusznie zakładając, że gdyby o niej wiedział, postawiłby cały swój autorytet na jedną kartę i nie dopuścił do realizacji jej pomysłu.

Jedli właśnie śniadanie na werandzie, kiedy pokojówka Siegrid, jak każdy wątrobowiec kwaśna o tej porze i nieprzystępna, stawiając na stoliku talerz ze świeżo opieczonymi grzankami, powie-

prezentacje

udanego sezonu!

11 września br. odbył się w Łomży pierwszy w sezonie artystycznym 1986/87 koncert Łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej. Ten inauguracyjny wieczór wypełniły utwory Edwarda Griega, kompozytora norweskiego (1843—1907). Na jego zainteresowanie muzyką duży wpływ wywarła matka, dzięki której podjął naukę gry na fortepianie, organach oraz kompozycji. Studiował w konserwatoriach w Lipsku i Kopenhadze. Jak każdy kompozytor — dyrygował orkiestrami wykonującymi jego utwory nie tylko w swoim kraju; m.in. w 1903 r. Grieg występował nawet w Filharmonii Narodowej w Warszawie.

Jest on najwybitniejszym przedstawicielem norweskiej szkoły narodowej. Początkowe kompozycje Griega wykazują wpływ Schumanna i Mendelssohna. W późniejszym okresie kompozytor stworzył oryginalny styl, nawiązujący do norweskiego folkloru. Główną dziedziną jego twórczości jest muzyka fortepianowa, dlatego też na inaugurację sezonu Łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej została zaproszona pianistka Maria Korecka-Soszkowska, która w Łomży już występowała. Zagrała ona z naszą Orkiestrą Koncert fortepianowy a-moll tego oryginalnego kompozytora.

Grieg pisał też z myślą o orkiestrze. W pierwszej części wieczoru koncertowego łomżyńscy instrumentaliści zaprezentowali muzykę Edwarda Griega do dramatu „Peer Gynt" Henryka Ibsena. Ujęta ona została w dwie suity symfoniczne (formy cykliczne) op. 46: „Poranek", „Śmierć Azy", „Taniec Anitry", „W grocie Króla Gór" oraz op. 55 — „Skarga Ingrydy", „Taniec arabski", „Powrót Peer Gynta", „Pieśń Solvejgi".

Dzięki dyrygentowi, który potrafił wydobyć formę dramatyczną muzyki Griega, Łomżyńska Orkiestra Kameralna — w odnowionym składzie — skontrastowała i ładnie wyprowadziła tematy poszczególnych scen. Dyrygent, Henryk Szwedo, zdynamizował oba przetworzenia i wyeksponował solowe epizody instrumentalne. Orkiestra udramatyzowała narrację muzyczną subtelnymi „zawieszeniami", przyspieszeniami, zwolnieniami, przy pomocy których zaprezentowała wszystkie zalety dwóch suit norweskiego kompozytora. Imponujące pianissimo Orkiestry mogło mile zaskoczyć słuchaczy, ponieważ jest ono wykonawczo bardzo trudne. Nie przeforsowane forte zespołu było pełne i pokazywało fascynującą ekspresję gatunków — nie tylko tanecznych — zawartych w suitach Griega. Dyrygent i jego instrumentaliści rozumieli się wzajemnie, a przede wszystkim zrozumieli styl granej muzyki. Frazy muzyczne ładnie prowadzone były przez instrumenty dęte drewniane, smyczki zazwyczaj się zgadzały, tylko pozostałe instrumenty dęte nie zawsze wchodziły równo. Mimo jednak pewnych niedociągnięć technicznych, może nawet — początkowo — niepewności i nadmiernej ostrożności, Łomżyńska Orkiestra Kameralna trafnie odtworzyła obrazową muzykę Griega.

W drugiej części wieczoru wystąpiła pianistka Maria Korecka-Soszkowska z Koncertem fortepianowym a-moll. To wiekie dzieło solistka grała nie tylko z absolutną perfekcją techniczną, ale też z wirtuozowskim polotem, co zmobilizowało Orkiestrę do równie subtelnej i szlachetnie czystej gry.

Myślę, że inauguracyjny koncert Łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej był bardzo atrakcyjny. Jeśli wreszcie uda się uzyskać personalną stabilizację zespołu, efekty artystyczne i sukcesy mogą być zaskakujące.

PAWEŁ JACKOWSKI

idea

Pozy ciała mocno wystudiowane, jakby na wzór starych portretów, stroje znane z filmów przedwojennych, balów kostiumowych, a jednak twarze utrwalone na fotografiach wydawały się mieszkańcom Bogut i okolicy, oglądających wystawę w Gminnym Ośrodku Kultury, nieobce. Przypominali sobie nazwiska, wspominali historie z ich życia. Wystawa zrobiła prawdziwą furorę (jej spore fragmenty są eksponowane w galerii Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego).

Pomysł zrodził się niejako sam: gdy Roman Świerżewski otrzymał jedną z głównych nagród na konkursie starej fotografii, zorganizowanym przez „Nową Wieś", pomyślał o powieleniu idei na niewielkim terytorium gminy Boguty Pianki. Roman Świerżewski nieźle zna swoje rodzinne strony, więc nie tylko mógł przypuszczać, że sporo pamiątek tkwi w albumach i szufladach komód, lecz nawet przeczuć, u kogo można je znaleźć. Samo ogłoszenie konkursu nie przyniosłoby zapewne tak bogatego plonu — półtora tysiąca zdjęć — gdyby nie osobiste wizyty u wybranych rodzin. Wielu mieszkańców dopiero w trakcie wystawy zrozumiało sens hasła konkursu i uświadomiło sobie, że też miałoby z czym „zastartować". Szansy nie zaprzepaścili jednak z kretesem, ponieważ dyrektor bogucklego GOK-u, zachęcony dotychczasowym efektem, zamierza ponawiać konkursy, bardziej konkretyzując ich tematykę w poszczególnych edycjach. W tegorocznym — jedynym kryterium była stara metryka fotografii, a mianowicie do 1945 r. Po drobiazgowym opracowaniu i opisaniu wszystkich eksponatów Roman Świerżewski pogrupował je następująco: dzieci, młodzież, wojsko, ślub, życie rodzinne, pogrzeb. Wyodrębnił ponadto stowarzyszenia i organizacje, portrety, II wojnę światową, pracę. Najstarsza fotografia — własność księdza Tymieńskiego — pochodzi z 1875 r., a więc została zrobiona zaledwie 36 lat po oficjalnych narodzinach rzemiosła.

Zadziwiające, w jak dobrym stanie zdjęcia przetrwały tyle dziesięcioleci. Niewątpliwie dawni fotografowie bardzo rzetelnie traktowali swój fach (jakość niegdysiejszych papierów i chemikaliów!), a i właściciele obchodzili się ze zdjęciami z wielką pieczołowitością. Każda fotografia była bowiem niebagatelnym dokumentem: uwieczniała ważne wydarzenia w rodzinie (ślub, pogrzeb), miała służyć „odświeżaniu" pamięci lub „zatrzymaniu czasu" (portrety dzieci, zdjęcia z emigracji). Dlatego wielką rzadkością są fotografie przedstawiające ludzi przy pracy, w zwykłych sytuacjach, roboczym odzieniu. Inna sprawa, że biedacy nie zawsze mogli sobie pozwolić na luksus fotografii, która dopiero z latami się „pauperyzowała".

Pewien styl fotografowania był niewątpliwie rezultatem ograniczeń technicznych: robiło się to albo w studiu, albo w plenerze, zdjęcie nie mogło być „poruszone" itp. Najcenniejsze kolekcje starych fotografii w gminie Boguty zachowały: Marianna Łuniewska (I miejsce), Jadwiga Jażwińska, Stanisława Skłodowska, Alina Złotkowska, Bolesława Uszyńska. Dyr. Świerżewski symbolicznie uhonorował ofiarodawców, lecz — prawdę mówiąc — i jemu samemu należą się wielkie słowa uznania za udaną próbę zachowania części kultury materialnej tak bardzo narażonej na zniszczenie. Ileż to razy przy wyprowadzkach do miejskich bloków czy wiejskich nowych domów z nowoczesnymi wnętrzami młodzi, a nawet starsi rolnicy bezmyślnie wyzbywają się cennych zdjęć, obrazów, dokumentów czy starych mebli. Idea zachowania i pielęgnowania pamiątek przeszłości winna znaleźć znacznie więcej zwolenników we wszystkich gminach i w samej Łomży.

DANUTA WRONISZEWSKA

działa: — Panie Marsden, w salonie jest telefon do pana. Przynieść aparat, czy pan sam podejdzie?

— Do mnie? — zdziwił się Greg. — A któż to dzwoni?

— Nie wiem, jakaś kobieta.

Greg niepewnie uniósł się z krzesła. Na wszelki wypadek wolał sam podejść do aparatu, mogła to być bowiem ta kretynka Jilli, albo — nie daj, Boże! — Ruth, bądź jakaś inna dama, z którą kiedyś miał do czynienia. W tym samym czasie Stefania opuściwszy oczy, całą swoją uwagę zdawała się skupiać na grzance, którą starannie pokrywała cieniutką warstewką masła. Wiedziała, kto dzwoni i w jakiej sprawie, i teraz była już tylko ciekawa reakcji męża.

Marsden wrócił po kilku minutach, rozluźniony i uśmiechnięty, z zewnętrznymi objawami pęczniejącej w nim dumy. Usiadł na krześle, założył nogę na nogę i powiedział: — Kochanie, właśnie dostałem pewną propozycję. Jeszcze nie wiem, czy ją przyjmę, ale rzecz warta jest zastanowienia się.

— Och, Greg, co to takiego? — zapytała Stefania rumieniąc się jednocześnie ze wstydu. Po raz pierwszy oszukiwała męża i czuła się wyjątkowo obrzydliwie.

— Chcą, żebym został dyrektorem reklamy u Maxwella. Dają mi też własne dziesięć minut w telewizji, no i, oczywiście, całkiem niezłą pensję. Co o tym myślisz?

— To wspaniale! — tym razem Stefania nie musiała już udawać, bo rzeczywiście była zachwycona. Po tonie głosu Grega poznała, że przyjmie tę posadę i, co ważniejsze, bardzo mu ona odpowiada. Jednak Marsden nie byłby sobą, gdyby zbyt szybko zakończył ten starannie wyreżyserowany spektakl.

— No tak, ale nie wiem, czy dam sobie radę. Telewizja to drobiazg, już nieraz w niej występowałem, ale zupełnie co innego być dyrektorem. Odpowiada się wtedy nie tylko za siebie, prawda?

— Czy ja wiem? — Stefania nie chciała ani potwierdzić, ani zaprzeczyć. Było bowiem tak, że stanowisko dyrektora kupiła mu niemal od ręki, natomiast ciężkie boje musiała toczyć w sprawie owych dziesięciu telewizyjnych minut. Pan Maxwell, właściciel renomowanego domu mody, wychodził z założenia, że dyrektorem może być ostatecznie każdy dureń, byle tylko miał tyle rozumu, żeby nie przeszkadzać w pracy swoim podwładnym, natomiast do prowadzenia własnej audycji telewizyjnej potrzeba sporo wiedzy fachowej i choćby odrobinę talentu, a o jego posiadanie Grega Marsdena raczej nie podejrzewał.

— Czy ja wiem? — powtórzyła Stefania i szybko zmieniła temat. — Jestem pewna, że dasz sobie radę ze wszystkim. Greg, kochany, nie taki diabeł straszny, jak go malują! — chciała jeszcze powiedzieć, że w razie czego zawsze może na nią liczyć, ale w ostatniej chwili zdążyła się ugryźć w język.

Greg Marsden zaczął swoje urzędowanie od mocnego uderzenia. Na wstępie zebrał wszystkich pracowników i wygłosił exposé, w trakcie którego ludzie spoglądali na siebie ze zdumieniem. Specjalistom od reklamy naświetlił swój punkt widzenia na nią, równie

bezsensowny co chaotyczny, zapowiedział przeprowadzenie jakiejś bliżej niesprecyzowanej reorganizacji działu, a na koniec wystrzelił ze stufuntowej armaty: wyrzuci z pracy każdego, kto spróbuje oprzeć się jego woli. Nic więc dziwnego, że po takim dictum kilku co bardziej krewkich i wyżej ceniących się specjalistów wolało już nie czekać. Sami złożyli wymówienia. Ale nowy dyrektor wcale się tym nie przejął, chociaż tracił najcenniejszych ludzi ze swojego personelu.

Podobnie, albo jeszcze gorzej, poszło mu z telewizją. Fotogeniczna twarz z przylepionym do niej cukierkowym uśmiechem nie urato wała go od klęski. Program emitowany na żywo, szczęściem w godzinach porannych, a więc w porze stosunkowo niskiej oglądalności, wprost jeżył się od kretyńskich min i póz Marsdena-prezentera, który na domiar złego okazał się człowiekiem bez gustu i smaku. Po każdym półminutowym filmiku reklamującym jakiś nowy wzór przyodziewku, zjawiał się na wizji w innej marynarce, koszuli i krawacie, często tak niezręcznie dobranych, że już nawet nie budziło to uśmiechu.

Stefania oglądała tę audycję w biurze i w trakcie jej trwania załamywała ręce z przerażenia. Tego mężczyznę, który był jej mężem,

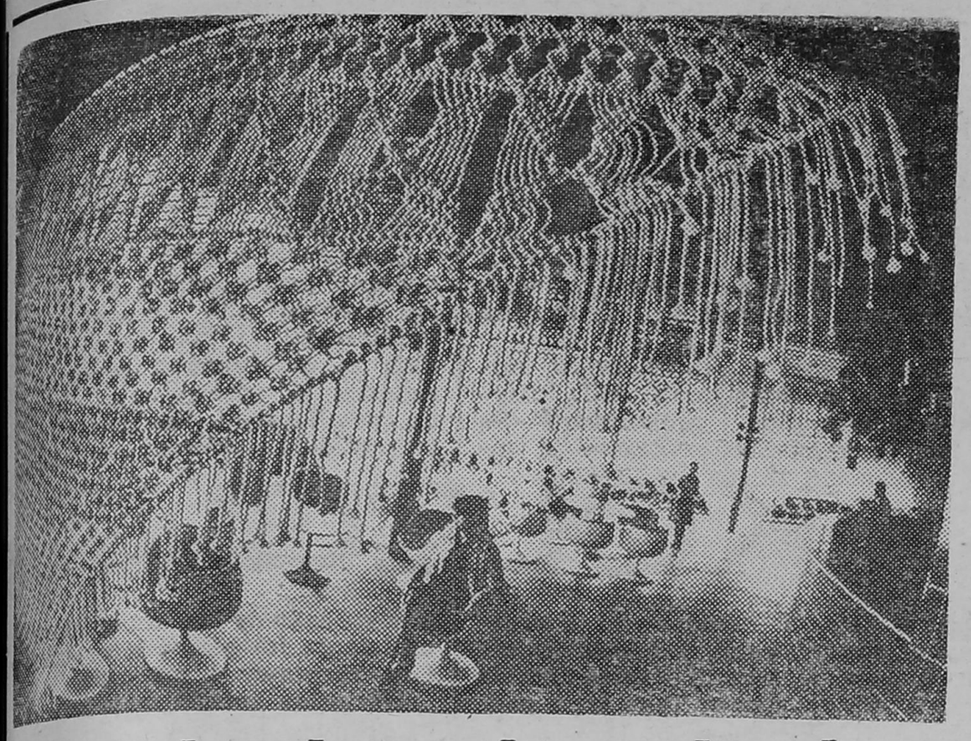

kawiarniane konsultacje

Właścicielowi pewnej kawiarni w Bolonii (Włochy) nie naganiają klienteli ani kabaret, ani gwiazdki baletu czy szansonistki, lecz możliwość uzyskania bezpłatnej porady, jak należy wypełniać deklaracje podatkowe, by fiskus nie wyciągał z kieszeni zbyt wielkich sum.

TANIE DANIE

zupa z mleka ryżu i dyni

Produkty: 45 dkg dyni, 15 dkg obranych ziemnikaów, 4 dkg masła, 3 szklanki mleka, 1 g suszonego rozmarynu, 12 dkg ryżu, 1,5 l rosołu, 8 dkg tartego sera, sól.

Dynię i ziemniaki obrać, pokrajać w kawałki i ugotować w dużej ilości wody. Odlać wodę do osobnego garnka, a ugotowane warzywa przetrzeć przez sito do tego, w którym się gotowały. Postawić na słabym ogniu i dodać masło, a następnie rozcieńczać wrzącym mlekiem, w którym uprzednio gotowały się listki rozmarynu. Połączyć z rosołem i powoli doprowadzić do wrzenia. Do gotującego się wywaru z warzyw wrzucić ryż i gotować na ostrym ogniu do miękkości, mieszając od czasu do czasu. Odcedzić i połączyć z zupą. Tartym serem posypuje się zupę na talerzu, dlatego trzeba podać go osobno.

cylinder

Gdy James Hetherington, wynalazca cylindra, założył go po raz pierwszy w 1797 roku, został aresztowany za zakłócanie spokoju.

kochać dzień w dzień

Zmarły niedawno pisarz francuski, Romain Gary, jest autorem takiego powiedzenia: „Donżuaneria jest formą impotencji. Prawdziwie wielki kochanek to człowiek, który od trzydziestu lat kocha się dzień w dzień z tą samą kobietą".

wielki jak Holender

Wśród młodych Europejczyków najwyżsi, jak to obliczyli specjaliści, są Holendrzy. Średnio każdy osiemnastolatek ma 182 centymetry wzrostu. Przerastają swych ojców, gdy byli w tym samym wieku, średnio o 4 centymetry.

uzdrowicielski „zajączek"

W stolicy Kazachstanu, Ałma-Acie, w dwóch ośrodkach medycznych aplikuje się dorosłym i dzieciom słoneczną kurację. Specjalny reflektor, złożony z 200 niewielkich luster, koncentruje i odbija promienie słoneczne w odpowiednim kierunku, tworząc świetlną plamę. Taki „zajączek" wędruje po ciele pacjenta i ogrzewa go przenikając głęboko. Promienie słoneczne leczą dychawicę oskrzelową u dzieci, bronchit i inne tego typu dolegliwości.

nafta z drewna

Na Filipinach rośnie drzewo, którego owoce mają skład chemiczny niewiele różniący się od nafty. Ten roponośny dar natury nosi nazwę „Hanga".

mowa kwiatów czyli kwietny flirt

♦ *Kalina: serce mi pęknie, jeśli mnie porzucisz.*
♦ *Koniczyna: chciałbym wiedzieć, czy możemy się spotkać.*
♦ *Konwalia: nic cię tak nie zdobi, jak twoja uroda.*
♦ *Krokus fioletowy: czy żałujesz, że mnie kochasz; żółty: czy twoje uczucia są prawdziwe?*
♦ *Kwiat jabłoni: darzę cię szczególnymi względami.*
♦ *Kwiat śliwy: dotrzymaj swoich przyrzeczeń.*
♦ *Lawenda: moja miłość jest pokorna.*
♦ *Lewkonia: moje uczucia są stałe.*
♦ *Lilia biała: moje uczucia są czyste i niewinne.*
♦ *Mak czerwony ogrodowy: kochajmy, póki czas; biały: ospałość serca; polny: marzę o tobie.*

SWAWOLNIK

— Ja, proszę pana, najmilsze godziny zawdzięczam filmom.
— Nie wiedziałem, że z pana jest taki kinoman.
— To nie ja chodzę do kina, ale moja żona.

coś dla serca

Serce w ciągu ludzkiego życia wykonuje przeciętnie około miliarda uderzeń. Bardzo często człowiek zmusza je do zwielokrotnionego wysiłku. Nieracjonalne odżywianie, stresy, zmęczenie pracą zakłócają jego prawidłowe funkcjonowanie. Pojawia się intensywny ból i ucisk w klatce piersiowej, z czasem rozprzestrzeniający się do ramion i karku. Zaczynają się zawroty głowy i mdłości.

Lekarze potrafią dokładnie zarejestrować czynności elektryczne serca przez wprowadzenie do organizmu ludzkiego cewnika, który specjalnymi czujnikami zostaje połączony z mięśniem sercowym pacjenta. Bezpieczniejszą, ale mniej dokładną metodą jest rejestrowanie przy pomocy elektrod — przykładanych do ciała — prądów czynnościowych, powstających podczas pracy mięśnia sercowego, czyli elektrokardiogram.

Ostatnio kanadyjscy uczeni z trzech ośrodków medycznych opracowali komputerowy system do określania uszkodzonych lub zagrożonych uszkodzeniem części mięśnia sercowego. Taka mapa defektów powstaje na tej samej zasadzie, co znane wszystkim EKG, jednakże pozwala ona na zebranie danych, które do tej pory można było uzyskać jedynie przy chirurgicznym cewnikowaniu.

normalka

W niewielkim miasteczku angielskim Chattandan główną ulicą przejeżdżał buldożer, hałasując przy tym nieprawdopodobnie. Ciągnął za sobą na stalowej linie dużą kasę pancerną. Nikt z przechodniów nie zainteresował się tym faktem. Dopiero nazajutrz mieszkańcy dowiedzieli się, że z poczty skradziono sejf.

tłok

Samochody, którym konstruktorzy dali możliwość rozwijania 100—150 kilometrów na godzinę, w zatłoczonym mieście z trudnością mogą przebyć 20 km. Np. w Rzymie średnia prędkość wynosi 16 kilometrów na godzinę. Coraz dłuższe są także okresy szczytowego natężenia ruchu: w Rzymie 8 godzin, w Bostonie — aż 18. Nawet miasta, które dysponują niezwykle rozwiniętą siecią dróg, są przez większą część dnia zatłoczone, bowiem w nich, jak np. w Los Angeles, aż 95 proc. mieszkańców posiada własne samochody. Paryż ze swoim milionem samochodów, zagęszczany co dnia przyjeżdżającymi (1,5 miliona), niemal bez przerwy jest narażony na paraliż komunikacyjny na każdym z 1245 kilometrów ulic i każdym z 1640 skrzyżowań. Czasami wystarczy jedno źle zaparkowane auto, jakieś zderzenie czy awaria świateł ulicznych, by powstał chaos.

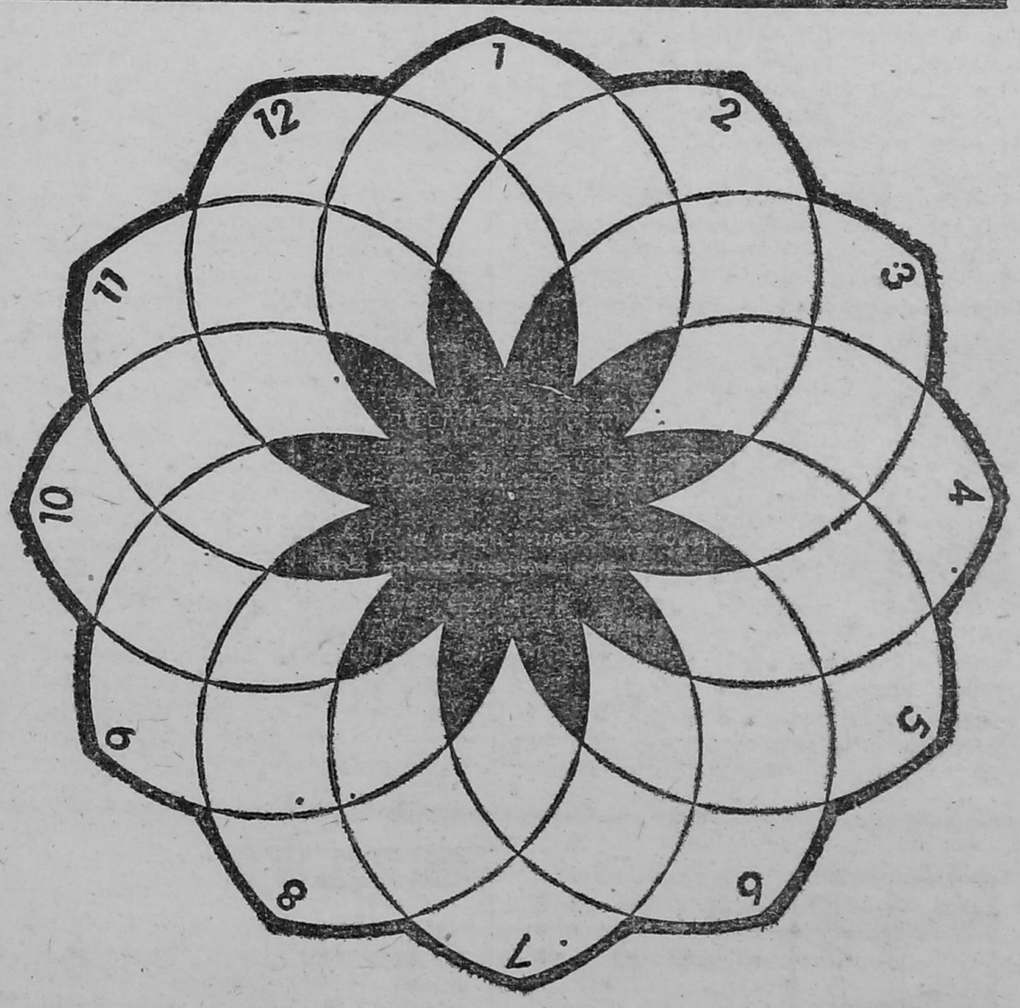

PRAWOSKRĘTNIE: 1) otaczający nas świat roślinny i zwierzęcy, 2) likwidacja, 3) „łysina" w lesie, 4) klika, 5) ozdoba talesu, 6) liturgiczny talerzyk, 7) śniedź, 8) imię żeńskie, 9) rzadkie imię kobiece, 10) brylowała w filmie „Noce Cabirii", 11) metropolia, 12) komendant wojskowy.

LEWOSKRĘTNIE: 1) wódz, naczelnik, 2) rodzaj krytego powozu, 3) etat, stanowisko pracy, 4) wieczorny posiłek, 5) grecka bogini mądrości, 6) ruch społeczno-religijny w Lombardii w XI wieku, 7) płaskie, ozdobne naczynie na nóżce do podawania ciast lub owoców, 8) rodzaj atłasu, 9) lokum pilota, 10) obraz przedstawiający widok morza, 11) rękojeść bicza, biczysko, 12) „...topoli" to znany telewizyjny serial francuski. (HCL)

Wśród Czytelników, którzy w ciągu 10 dni nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru 40/86 książki wylosowali: KRZYSZTOF BOBEK (Jarocin), AGNIESZKA KMICIC (Łomża) i GRAŻYNA ŁOSIŃSKA (WAŁBRZYCH).

strajkujemy pod krzyżówką

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Krzysztof Dworniczak, Henryk Gała, Wiesław Janicki, Maria Kaczyńska, Alicja Niedźwiecka, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Fotoreporter — Gabor Lőrinczy (wszystkie nie podpisane zdjęcia w numerze). Redaktor graficzny — Stanisław Kędzielawski, Redaktor techniczny i korekta — Elżbieta Słupska i Jolanta Pawluk. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Alicja Basta, Czesław Brodzicki, Adam Dobroński, Bronisław Gołębiowski, Jan Kwasowski, Wiesław Kołowski, Piotr Kuncewicz, Krzysztof Kurianiuk, Andrzej Podulka, Marek Polański, Adam J. Socha, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak, Alicja Zagórska, KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel.

WIEŚCI GRODZKIE

JEDWABNE

Kolejny projekt zmian w systemie rekrutacji na wyższe uczelnie przewiduje zniesienie punktów preferencyjnych. Panuje jednak pogląd, że absolwenci z małych miejscowości są gorzej przygotowani do nauki na wyższych uczelniach od młodzieży wielkomiejskiej. Jak rodzą się te kompleksy, świadczy chociażby przykład z miejscowego liceum. W tym roku w wielu szkołach średnich wprowadzone zostały nowe przedmioty, w Jedwabnem okazało się to niemożliwe.

EWA MAŃKO, dyrektorka Liceum Ogólnokształcącego: — Zamierzaliśmy wprowadzić w tym roku religioznawstwo, ale nauczyciel przygotowany do prowadzenia tego przedmiotu wyprowadził się do Grajewa. Dopiero teraz kolejny kandydat został skierowany na odpowiedni kurs. Na podobnych kursach przygotowują się nauczyciele do prowadzenia zajęć z informatyki i ochrony środowiska. Szkolenia odbywają się tak późno, gdyż dopiero teraz otrzymaliśmy programy, poza tym kursy nie były wcześniej organizowane. Mimo że nauczyciele posiadają wyższe wykształcenie, kursy są obowiązkowe. W każdym razie klasa czwarta ukończy naukę według dotychczasowego programu. Nie wiem też, jak sobie poradzę ze znalezieniem wykładowcy do prowadzenia propedeutyki wiedzy o prawie. Z kolei do zajęć z informatyki potrzebny jest komputer (przepisy wymagają nawet czterech urządzeń na zajęcia), ale szkołę, nawet gdybyśmy mocno zacisnęli pasa, stać byłoby na jeden. I trudno znaleźć chętnych do wspomożenia. To prawda, że po sąsiedzku mamy firmę polonijną, ale kiedy poprosiliśmy jej pracowników, żeby sprzedali nam kilka desek, to poradzili, aby kupić je w RFN-ie.

Nowy program przewiduje praktyki zawodowe uczniów w zakładach pracy. W naszych warunkach ich zorganizowanie jest niemożliwe. W istniejącym w Jedwabnem zakładzie dziewiarskim obowiązuje system akordowy. Trudno wyobrazić sobie, aby uczniowie, mający niewielkie pojęcie o tej pracy, mogli być traktowani na jednakowych prawach, chyba że jakaś maszyna byłaby niewykorzystana. W budynku Urzędu Miasta i Gminy jest tak ciasno, że trudno byłoby wcisnąć tam jeszcze 12 uczniów-praktykantów. Odpowiednimi pomieszczeniami dysponuje właściwie jedynie SKR, ale wyniki gospodarcze Spółdzielni nie byłyby dobrą szkołą dla naszych uczniów. W tej sytuacji ratujemy się wakacyjnymi Ochotniczymi Hufcami Pracy. Przy okazji staramy się, aby były one organizowane w atrakcyjnych miejscowościach. Urządzamy też wycieczki do teatru. Niestety, mimo że w Jedwabnem jest całkiem porządna sala kinowa, nie wszyscy umieją się zachować odpowiednio w czasie seansów i uniemożliwiają oglądanie filmów innym.

Grono pedagogiczne martwi jeszcze jeden problem. Spada zainteresowanie uczniów nauką w szkołach wyższych. Z 38 ubiegłorocznych absolwentów o przyjęcie na studia ubiegało się tylko 6. Wyjątkowy był jedynie rok 1977, kiedy na studia wybierało się 80 procent uczniów. Ale powodem rezygnacji z dalszej nauki są nie tylko obawy przed egzaminami. Obserwujemy, że dzieci rodziców pracujących za granicą przejawiają coraz mniejszą chęć do nauki. Spada też dyscyplina, z tego powodu musieliśmy się rozstać z kilkoma uczniami.

SZCZUCZYN

„Sztandar Młodych" rozliczył sposób realizacji uchwały Komitetu Centralnego PZPR, poświęconej budownictwu mieszkaniowemu. W rozliczeniu było ogólnie o braku działek budowlanych, opóźnieniach w budowie infrastruktury, brakach materiałów budowlanych itp. Gdyby szukać winnych po nazwisku, to w Szczuczynie trzeba pójść do referatu budownictwa UMiG.

KAZIMIERZ GALIŃSKI, kierownik referatu: — Rzeczywiście w kolejnej skardze mieszkańcy osiedla Pawełki grożą mi sądem. Jak wiadomo, ciągnie się sprawa przesunięcia linii energetycznej, pod którą budowane są domki jednorodzinne. Zgodnie z umową, podpisaną przez WDI i Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego, do 28 lutego 1987 roku ma być gotowa dokumentacja całkowitego uzbrojenia osiedla Pawełki. W Urzędzie Miasta doszliśmy do wniosku, że jest to zbyt odległy termin i wyłączyliśmy z ogólnego projektu przeniesienie linii, na które opracowania dokumentacji podjął się inżynier z placówki Naczelnej Organizacji Technicznej w Łomży. Rzeczywiście w końcu września projekt był gotowy, ale w Zespole Uzgadniania Dokumentacji okazało się, że nawet po przeniesieniu linia będzie zahaczała o jedną działkę. Dokumentacja wróciła więc do poprawki. Spodziewamy się, że lada dzień będzie gotowa. Mamy zarezerwowany milion złotych, który przeznaczymy na tę inwestycję. PBRol. podjął się jej wykonania. Ale co z resztą dokumentacji? Otóż uzbrojenie techniczne osiedla Pawełki nie znalazło się dotychczas w planie inwestycyjnym województwa. W związku z tym WDI przysłało nam pismo z pytaniem, kto zapłaci za opracowaną przez BPBK dokumentację. Mimo że pieniędzy brakuje, ryzykujemy i odpisaliśmy, że zapłacimy z funduszu miasta. Mamy nadzieję, że ten milion wystarczy nie tylko na przesunięcie linii, ale i na budowę sieci energetycznej zasilającej już istniejące budynki.

Jednak to nie koniec problemu. Przygotowujemy tereny pod budowę kolejnego osiedla, ale zgromadzonych pieniędzy wystarczy najwyżej na wykupienie jednej trzeciej ziemi przeznaczonej na działki. Skąd wziąć jeszcze fundusze na jej uzbrojenie? Według planowanych zmian płacić będą za nie, przynajmniej w części, przyszli użytkownicy działek. Ale kto zechce się budować, jeśli za działkę będzie musiał zapłacić pół miliona złotych.

GRAJEWO

Konsumenci skarżą się na jakość wyrobów miejscowej piekarni. Chleb bywa kluchowaty, zdarzył się przypadek zapieczenia niedopałka papierosa. 10 października około godziny 14.00 dziennikarz mógł przekonać się, że hala produkcyjna służy jako teren do jazdy rowerem i miejsce do spotkań towarzyskich pracowników.

BRONISŁAW LUTO, prezes PSS „Społem": — Od dwóch tygodni został wprowadzony odbiór jakościowy pieczywa przez pracownika Oddziału Wojewódzkiego „Społem". Z własnej inicjatywy zapowiedzieliśmy pracownikom większą ilość kontroli. Niestety, do tego zawodu nie ma wielu chętnych, zresztą, na młodszych pracowników skarżą się starsi piekarze. Za brak dyscypliny nie wahamy się zwalniać winnych. Piekarnia jest przestarzała, zamiast na dwie pracuje na trzy zmiany. Stąd mogą zdarzyć się problemy z jakością. Dziękujemy za sygnał.

afisz administracyjny

KOLEGIA

Kolegia ds. wykroczeń są niezawisłymi organami społecznymi, wybieranymi przez rady narodowe, usytuowanymi przy terenowych organach administracji państwowej, a powołanymi do orzekania w sprawach o wykroczenia. Działalnością swoją kolegia wspierają rady narodowe i terenowe organy administracji w zapewnianiu porządku i bezpieczeństwa publicznego oraz umacnianiu dyscypliny społecznej.

Ich zadania są określone w rozdziale VII Konstytucji PRL, zatytułowanym „Sąd i prokuratura". Są one funkcjonalnie związane z sądami, radami narodowymi i organami administracji, jednakże im nie podlegają w kwestii rozstrzygania konkretnych spraw. Tego typu nadzór sprawuje kolegium II instancji oraz Komisja Orzecznictwa ds. Wykroczeń, działająca przy wojewodzie.

Kadencja (dobiega końca dziesiąta) kolegiów trwa cztery lata. Wyboru ich członków dokonują rady narodowe na wniosek terenowych organów administracji. Od 1 stycznia 1983 r. — jako organy I instancji — orzekają kolegia ds. wykroczeń przy naczelnikach miast i gmin w Grajewie, Kolnie, Wysokiem Mazowieckiem i Zambrowie oraz przy prezydencie Łomży. Członków kolegiów rejonowych wybierają gminne rady narodowe, a kolegium II instancji — Wojewódzka Rada Narodowa.

Kandydatów na członków kolegiów przy terenowych organach administracji państwowej zgłaszają załogi zakładów pracy, samorządy mieszkańców miast i wsi oraz organizacje społeczne i polityczne. W ich składzie powinni się znaleźć reprezentanci społeczeństwa z różnych środowisk i zawodów. Są to osoby, które ukończyły 24 lata i wyraziły zgodę na kandydowanie, mają obywatelswo polskie, korzystają z pełni praw publicznych i posiadają dobrą opinię obywatelską. Nie wybiera się na członków kolegiów: sędziów, ławników, prokuratorów, adwokatów wykonujących zawód, aplikantów sądowych, prokuratorskich, adwokackich oraz żołnierzy w służbie czynnej, funkcjonariuszy MO i służby więziennej. Przewodniczący kolegium i jego zastępca muszą posiadać wyższe wykształcenie prawnicze lub administracyjne.

Przed rozpoczęciem działalności orzekającej członkowie kolegiów składają ślubowanie oraz zostają przeszkoleni w zakresie przepisów normujących problematykę wykroczeń. Ich niezawisłość polega na tym, że organy administracji sprawujące nadzór nad działalnością kolegiów, tj. Minister Spraw Wewnętrznych i terenowe organy administracji państwowej, nie mogą im wydawać poleceń dotyczących rozstrzygnięć konkretnych spraw, a tylko ustalać ogólne wytyczne co do polityki orzecznictwa. Niezależność kolegiów od administracji podkreśla też wymóg, aby w trzyosobowym składzie orzekającym zasiadało przynajmniej dwóch członków nie będących pracownikami terenowego organu administracji, przy którym działa kolegium.

Członkowie kolegiów korzystają z ochrony przewidzianej w „Kodeksie karnym" dla funkcjonariuszy publicznych i jako tacy odpowiadają za przestępstwa popełnione w związku ze sprawowaną funkcją, np. przekupstwo. Korzystają oni ze szczególnej ochrony w układzie pracy: zakłady są zobowiązane do udzielania im płatnych zwolnień na czas rozprawy i szkolenia.

Wszystkie kolegia mają zapewnioną obsługę prawną, wykonywaną przez radców ds. wykroczeń, którzy udzielają pomocy w rozstrzyganiu wątpliwości prawnych.

Rezultaty pracy wszystkich kolegiów ds. wykroczeń były wielokrotnie przedmiotem szczegółowych analiz, dokonywanych przez instancje partyjne szczebla wojewódzkiego i podstawowego, sesje i prezydia rad narodowych oraz komisje przestrzegania prawa i porządku publicznego. Organy te pozytywnie oceniały działalność kolegiów. Wyniki osiągane przez kolegia województwa łomżyńskiego są w wielu dziedzinach lepsze od średnich krajowych. Dotyczy to zwłaszcza szybkości orzekania i wykonawstwa kar. W bieżącej kadencji, tj. w latach 1983—86 (I półrocze br.), kolegia naszego województwa rozpatrzyły ogółem 14 950 spraw. W strukturze wniosków największą grupę w latach 1983—85 stanowiły wykroczenia drogowe — 4817 (około 38,5 proc.) oraz przeciwko spokojowi i porządkowi publicznemu — 2729 (około 21,8 proc.). Wśród pozostałych wykroczeń: przeciwko mieniu stanowiły 4,7 proc., przeciwko interesom konsumentów — 3,8 proc., dotyczących podejmowania czynności zawodowych pod wpływem alkoholu i z ustawy o wychowaniu w trzeźwości — 3,4 proc., oraz z ustawy o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy — 2,6 proc.

31 sierpnia br. dobiegła końca kampania wysuwania kandydatur na członków kolegiów ds. wykroczeń. Zaplanowano w województwie 337 zebrań, odbyto 355, z czego 241 w miastach i 114 na wsi; wzięło w nich udział około 9000 obywateli. Wyłoniono 484 kandydatów na członków kolegiów rejonowych i 68 kandydatów na członków kolegium przy wojewodzie łomżyńskim. Listy kandydatów były szczegółowo analizowane przez komisje przestrzegania prawa i porządku publicznego rad narodowych. Sesje rad stopnia podstawowego, na których nastąpi wybór członków kolegiów, odbędą się do 10 października br. a Wojewódzkiej Rady Narodowej — w II dekadzie października 1986 r.

Mgr JAN RACHUBKA
dyrektor Wydziału Społeczno-Administracyjnego

Z KRONIK MO

Dwaj pracownicy szepietowskiej Usługowo-Wytwórczej Spółdzielni Pracy nocą włamali się do macierzystego zakładu i obrobili kasę z pieniędzy. Następnie udali się do domów na zasłużony wypoczynek oraz by rano stawić się w pełni sił do rzetelnej i uczciwej pracy. Wcześniej jednak popracowali funkcjonariusze milicji, którzy „na zawodowy węch" wytypowali ich jako podejrzanych i zjawili się w mieszkaniach, by doprowadzić do aresztu. Ponieważ przypuszczali, że „fachowcy" pieniądze od razu zamelinowali, nie „obmacywali" delikwentów. Dopiero gdy profos — przed zamknięciem ich w areszcie — dla dokładnego zbadania, czy nie przemycają niczego zakazanego lub niebezpiecznego, polecił rozebrać się do naga, na podłogę posypały się bilety Narodowego Banku Polskiego, w tej sytuacji — dowody przestępstwa.

*

Drugiego października, po 17.00, w Kuleszach Kościelnych na gorącym uczynku włamania do magazynu zbożowego geesu został przyłapany pracownik tej Spółdzielni, 22-letni Jan S. Była to jego ósma próba: od 10 września br. pięć razy udało mu się włamać do magazynu i ukraść z blurka w sumie 26 000 zł, a trzy próby były nieudane, z tego ostatnia brzemienna w skutki.

*

Pewna rolniczka, podeszła w latach, wybrała się do gminnej wsi. W stolicy gminy przechodząc przez drogę spojrzała w prawo, w lewo, przepuściła syrenę i ruszyła na drugą stronę. Niestety, nie wzięta pod uwagę, że za jedną syreną sunęła druga, która ją potrąciła. Gdy w rejonowym szpitalu, w pobliskim miasteczku, otworzyła oczy natychmiast zaczęła się dopytywać o los kogutka towarzyszącego jej w wyprawie do gminy. Kogutek jednak gdzieś zginął, co bardzo starszą panią zafrasowało. „Wzięłam go dla pana doktora — westchnęła — żeby mnie dobrze przebadał."

*

W nocy z 30 września na 1 października do domku jednorodzinnego przy ul. Różanej w Grajewie dokonano włamania przy użyciu siekiery. Włamywaczem okazał się 13-letni Bogdan P., który w br. za włamania i kradzieże był karany. Tym razem przy pomocy kolegów, Janusza B. i Henryka P., ukradł 10 dolarów USA, 100 franków szwajcarskich, zegarek i 3 kasety magnetofonowe.

*

Przez otwarte okno na parterze budynku szkół ekonomicznych w Łomży włamał się złodziej, który zagrabił ponad 50 000 zł oraz 73 dolary i 50 centów.

*

Na parkingu przy ul. Staffa w Łomży nieznany sprawca skradł z dużego fiata — po wyjęciu szyby w tylnych prawych drzwiach — koło zapasowe, podnośnik, komplet kluczy, dwa dwudziestolitrowe kanistry, radio, głośniki, kasety magnetofonowe, kurtkę skórzaną, parasolkę, dowód osobisty właściciela i talon na benzynę

KONTAKTY

wieści gminne

KOŁAKI KOŚCIELNE. Co mieszkańcy gminy mogli zrobić w czynie społecznym, to zrobili, teraz oczekują pomocy. Chodzi o wyasfaltowanie drogi Kołaki Kościelne—Wiśniewo, skróciłaby ona przejazd do stacji PKP w Czarnowie, poprawiłyby się warunki dojazdu dzieci do szkoły, PKS może uruchomiłby linię autobusową.

✱ Rozwiązał się worek inwestycyjny. Uruchomiona została hydrofornia (w przyszłości korzystać z niej będzie 11 wsi), ułożony został asfalt na drodze prowadzącej przez Kołaki Kościelne. Trwają roboty wykończeniowe w nowym budynku Urzędu Gminy i GOK-u.

✱ Kiedy już większość rolników dostarczyła ziemniaki do punktu skupu, a magazynier upił się, na kontrolę przyjechał dzielnicowy. Punkt skupu został zamknięty, magazynier zawieszony w czynnościach służbowych, a pracownicy PPS-u ważą i sprawdzają, czy to, co w papierach, jest na placu.

✱ Mimo że zmiana na stanowisku sekretarza Urzędu Gminy miała miejsce kilka miesięcy temu, dobrze jest wiedzieć, gdzie szukać znajomych. Była pani sekretarz podjęła pracę w Urzędzie Skarbowym w Zambrowie, natomiast jej zastępczyni przeniosła się z Lachowa, gdzie była zootechnikiem w Państwowym Ośrodku Hodowli Zarodowej.

KULESZE KOŚCIELNE. Również w tej gminie zmiany kadrowe. Dotychczasowy przewodniczący GRN-u przeszedł na zasłużoną emeryturę nauczycielską i przenosi się do rodziny w Gdańsku. Nowym został wybrany Antoni Gros, kierownik lecznicy weterynaryjnej.

✱ Po pożarze budynku Urzędu Gminy w ubiegłym roku trwa odtwarzanie dokumentów. Bezpowrotnemu zniszczeniu uległy akta osobowe byłych pracowników. Nie było przypadków fałszowania danych w czasie ich odtwarzania, choć niektórzy rolnicy odmawiali okazania nakazów płatniczych, co znacznie ułatwiłoby uzupełnienie kartotek.

✱ Problem z węglem polega nie tylko na tym, że go brakuje, ale też jak go dzielić. Niejasności wzbudza np. przydział węgla nauczycielom prowadzącym gospodarstwa rolne. Czy powinni otrzymywać 1300 kilogramów według normy podstawowej, czy stosownie do powierzchni budynku? Na razie sprzecznych odpowiedzi w tej sprawie udziela także Urząd Wojewódzki.

SZEPIETOWO. Po czterech i pół roku od zawiązania się Spółdzielni Mieszkaniowej, można będzie przystąpić do wzniesienia pierwszego bloku. NBP otworzył kredyt na budowę dwóch budynków z kotłownią. Wykonawcą będzie OBM z Wysokiego Mazowieckiego.

✱ Zakład produkcyjny WUSP to potentat. Oprócz bieżnikowania opon samochodowych zakład naprawia siedzenia do wagonów kolejowych, wykonuje złącza wagonowe, wytwarza podzespoły do central telefonicznych, kooperuje z zakładami optycznymi. Pracuje tu 250 osób, a 70 proc. załogi to kobiety, średnia zarobków sięga 20 000 złotych.

Z „KONTAKTAMI" CIEKAWIEJ!

Jeżeli nie zaprenumerowałeś „Kontaktów" na przyszły rok, masz jeszcze szansę do 10 listopada br. Wpłaty: 195 złotych (za kwartał), 390 (półrocze) i 780 (za cały rok) — przyjmują oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" (dotyczy instytucji i zakładów pracy zlokalizowanych w miastach, będących siedzibą oddziałów) oraz urzędy pocztowe i doręczyciele (dotyczy osób prywatnych).

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Jest ona droższa o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

PAMIĘTAJ!

✱ **Tylko prenumerata zapewni Ci systematyczne otrzymywanie pisma, zwłaszcza poza województwem łomżyńskim.**

✱ **Prenumerując „Kontakty" zapewnisz sobie lekturę interesujących reportaży, rzetelnej publicystyki, nowinek ze świata, dalszego ciągu powieści „Powrócić do Edenu".**

10.23 TV 10.28

CZWARTEK — **23 PAŹDZIERNIKA**

PROGRAM I

16.25 Dla młodych widzów: „Reporter TDC". 16.50 „Był sobie kosmos" — franc. serial animowany. 17.15 „Teleexpress". 17.40 „Piłkarska kadra czeka". 18.05 „Magazyn lotniczy". 18.30 „Sonda". 19.00 Dobranoc. 19.10 „Religie świata". 19.30 Dziennik. 20.15 „Kim ty jesteś?" — film kryminalny prod. NRD. 21.40 „Klub międzynarodowy". 22.20 Kronika Mistrzostw Świata w zapasach.

PROGRAM II

17.30 „Męskie sprawy". 18.00 Program lokalny. 18.30 „Wyścig na granicy śmierci" — rep. film. 19.30 Dziennik. 20.15 „Variete, variete". 20.45 Festiwal Muzyki Mendelssohna. 21.35 „Wysokie progi" — rep. film. 22.00 „Zielone lata" — film portugalski.

PIĄTEK — **24 PAŹDZIERNIKA**

PROGRAM I

16.25 Dla młodych widzów: „Wyzwania". 16.50 Dla dzieci: „Piątek z Pankracym". 17.15 „Teleexpress". 17.30 „Bez próby" — „Metronom". 18.30 „Nie tylko dla oszczędnych". 19.00 Dobranoc. 19.10 „Dom rodzinny" — Ród Kawallów. 19.30 Dziennik. 20.00 „Monitor Rządowy". 20.30 „Przed nami ocean" — film ZSRR. 22.05 „Zawsze po 21-ej". 22.45 Kronika Mistrzostw Świata w zapasach. 23.10 „Korporacja zbrodni" — ang. film dokument.

PROGRAM II

17.10 „Jak uprawiać sport?". 18.00 Program lokalny. 18.30 „Muppet show — czyli rewia gwiazd". 18.55 „Duran, Duran" — program rozrywkowy. 19.30 Dziennik. 20.00 „Galerie świata" — „Luwr". 20.30 „Brawo" — magazyn B. Pietkiewicz. 21.00 „Uwaga, dokument". 21.40 „Rodzaj miłości" — film ang. 23.10 „Stan krytyczny".

SOBOTA — **25 PAŹDZIERNIKA**

PROGRAM I

8.55 „Zemsta" — filmowa adaptacja komedii A. Fredry. 10.40 „Stare, nowe, najnowsze". 12.20 „Sztuka prymitywna" — franc. serial dokum. 13.00 „W świecie ciszy". 13.30 „Z Polski rodem". 14.00 „Za kierownicą". 14.30 „Zdrowie" — program publicyst. 15.05 Teatr TV: J.P. Sartre — „Ladacznica z zasadami". 16.10 „Kram" — magazyn konsumenta. 16.50 TV Klub Młodych — „Promocje". 17.20 „Skarbiec" — magazyn historyczny. 18.00 Studio Sport — I liga piłki nożnej. 18.50 Losowanie Dużego Lotka. 19.00 Dobranoc. 19.10 „Z kamerą wśród zwierząt". 19.30 Dziennik. 20.00 „Tropiciele" — western USA. 21.10 „Czas" — magazyn publicyst. 22.00 „Sportowe rytmy tygodnia". 22.50 „Anielska diablica" — film czech.

PROGRAM II

15.55 Sobota w Dwójce. 16.00 „5—10—15" — zespół „Dom" przedstawia. 17.20 „100-lecie motoryzacji" (1). 18.00 Program lokalny. 18.30 „100-lecie motoryzacji" (2). 19.30 Dziennik dla niesłyszących. 20.00 Puccini — „Tosca". 21.40 „Tydzień w polityce". 21.50 „Klinika w Schwarzwaldzie" — serial RFN. 22.35 G. Puccini: „Tosca" c.d.

NIEDZIELA — **26 PAŹDZIERNIKA**

PROGRAM I

9.00 Teleranek oraz film „Zwiadowca". 10.35 „Tajemnice ludzkiego ciała" — serial dokum. 11.25 „Broń i barwa — u narodzin husarii". 11.50 „Siedem anten". 12.35 „Chodowiacy w Bułgarii" — rep. film. 12.55 „Ocalić od zapomnienia". 13.45 TV koncert życzeń. 14.30 „Kraj za miastem" — „Amazonki z Marzęcina". 15.05 Teatr Młodego Widza: „Szatę wdziejesz z purpury". 16.10 Program dokumentalny. 16.40 Teatr TV: J. Hasek — „W starej drogerii" (2). 17.45 „Społem... czyli razem". 18.25 „Antena". 19.00 Wieczorynka — „Dzieciństwo Muppetów". 19.30 Dziennik. 20.00 „Dama kameliowa" — film franc. 21.50 „Pegaz". 22.40 Sportowa niedziela. 23.15 Kabaret Olgi Lipińskiej — „Rury".

PROGRAM II

10.30 Film dla niesłyszących: „Dama kameliowa". 13.45 Wojskowy program publicystyczny. 14.15 Niedziela w Dwójce. 14.20 „Kwadrans z hejnałem". 14.35 „Jarmark". 16.05 „Jutro poniedziałek" — magazyn. 16.35 „Robin Hood" — serial ang. 17.30 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko". 18.20 „Słynne dzieła, słynni wykonawcy". 19.00 Wywiady Ireny Dziedzic. 19.30 Dziennik (dla niesłyszących). 20.00 Studio Sport. 21.00 „Ze sztuką na ty". 21.30 „W cieniu historii". 22.00 „Saga rodu Forsyte'ów" — serial ang.

PONIEDZIAŁEK — **27 PAŹDZIERNIKA**

PROGRAM I

16.25 Dla dzieci: „Zwierzyniec". 16.45 „Przyjaciele z Zielonej Doliny" — serial czech. 17.15 „Teleexpress". 17.30 „Echa stadionów". 18.00 „Janosik" — serial polski. 19.00 Dobranoc. 19.10 „Laboratorium". 19.30 Dziennik. 20.15 Teatr TV: E. Radziński — „Łunin, czyli śmierć Kubusia Fatalisty". 22.15 „Rozmowa na telefon".

PROGRAM II

17.40 „Śpiewnik Domowy". 18.00 Program lokalny. 18.30 „Karykaturzyści japońscy" — program publ. 19.05 „Piękni i wspaniali". 19.30 Dziennik. 20.00 Koncert jubileuszowy z okazji 60-lecia PR. 21.30 „Tu mówi Wrocław" — program publicyst. 22.00 Biografie: „Ramon Gajal" — serial hiszp.

WTOREK — **28 PAŹDZIERNIKA**

PROGRAM I

16.25 Dla młodych widzów: „Akademia Muzyczna". 16.50 „Cojak" — teleturniej dla dzieci. 17.30 „Z bliska" — program publicyst. 18.20 TV film dokumentalny. 19.00 Dobranoc. 19.10 „Klinika zdrowego człowieka". 19.30 Dziennik. 20.00 Trybuna Sejmowa. 20.30 „Imperium" — serial kanad. 21.40 „Wieczór z X Muzą".

PROGRAM II

17.30 „W Nieborowie" — polski film dokum. 18.30 „Ginący świat" — ang. film przyrodniczy. 19.30 Dziennik. 20.30 „Klucz do nowej muzyki". 21.00 „Myślenie ma kolosalną przeszłość". 21.20 „To niemożliwe" — film radz.

REJON ENERGETYCZNY „ŁOMŻA"

ANULUJE

pokwitowanie nr 212424-212425 i pokwitowanie nr 768451-768475.

K-396

BIURO IMPREZ ARTYSTYCZNYCH „ARTEX"
w Białymstoku

ZAPRASZA na:

SUPER-KONCERT

SHAKIN DUDI

oraz Big Band Boogie — bluessesion

IRENEUSZ DUDEK

„Ziuta", „Za dziesięć 13", „Opakowanie", „To ty"

Łomża — sala Urzędu Wojewódzkiego

19 listopada br. godzina 16,30; 19,30.

Informacja: „Artex" Białystok, tel. 28-642.

k 255-1

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Zambrowie, w postępowaniu przyspieszonym ukarało prawomocnym orzeczeniem z art. 43 ust. 3 ustawy z dnia 26.10.1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi ob. Stanisława Rykaczewskiego, s. Jana ur. 28.05.1937 r. zam. Laskowiec Nowy, karą zasadniczą grzywny w wys. 25 000 zł z zamianą na 50 dni aresztu zastępczego, w razie nieuiszczenia grzywny, jako karę dodatkową orzekło: podanie treści orzeczenia do publicznej wiadomości na łamach tygodnika „Kontakty" na koszt obwinionego, obciążyło kosztami postępowania w wys. 150 zł za to, że w dniu 29.08.1986 r. o godz. 18,55 wspólnie z inną osobą, podczas pełnienia dyżuru palacza w Ciepłowni przy ul. Grabowskiej w Zambrowie, spożywał alkohol przyniesiony przez siebie.

K 236-1

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Zambrowie, w postępowaniu przyspieszonym ukarało prawomocnym orzeczeniem z art. 43 ust. 3 ustawy z dnia 26.10.1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi Ob. Antoniego Ferenca s. Stanisława, ur. 15.01.1939 r., zam. Zambrów, ul. Sadowa 7/1 karą zasadniczą grzywny w wys. 25 000 zł z zamianą na 50 dni aresztu zastępczego w razie nieuiszczenia grzywny, jako karę dodatkową orzekło: podanie treści orzeczenia do publicznej wiadomości na łamach tygodnika „Kontakty" na koszt obwinionego, orzekło: przepadek zakwestionowanego alkoholu oraz obciążyło kosztami postępowania w wys. 150 zł za to, że w dniu 29.08.1986 r. o godz. 18,25 wspólnie z inną osobą podczas pełnienia dyżuru palacza w Ciepłowni przy ul. Grabowskiej w Zambrowie spożywał alkohol przyniesiony przez siebie.

K 241-1

ogłoszenia drobne

SPRZEDAM dom. Łomża, Nowogrodzka 238.

K-5225

ZGUBIONO prawo jazdy kat. BC, nr 8425/78. Lech Skarżyński, Łomża, Chętnika 12.

K-5370

C-360 w stanie bardzo dobrym sprzedam. Franciszek Krajewski, Rogienice Wielkie koło Łomży.

K-5374

ZAMIENIĘ mieszkanie w Ostrołęce na Łomżę. Tel. 57-02.

K-5376

SPRZEDAM cocker spaniele rodowodowe. Łomża, tel. 38-64.

K-5378

ZGUBIONO prawo jazdy samochodowo-ciągnikowe. Kazimierz Serafiński, Poniat 46, 18-422 Kownaty.

K-5378

ZGINĘŁO prawo jazdy kat. B, nr 13477/84. Jan Dzikowski, Łomża, Śniadeckiego 3/9.

K-5379

SPRZEDAM szczenięta boksery. Wiadomość: Łomża, tel. 62-60.

K-5380

ZGUBIONO prawo jazdy. Tadeusz Surgiewicz, Bożenica 3, gm. Łomża.

K-5381

ADRES REDAKCJI: ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża. Telefony 42-43 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji) Telex 85-22-85. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch". Białostockie Wydawnictwo Prasowe 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne. Zam. 1688/86 r. Nakład 20 500 egz. Pl. ISSN 0208 6840. Nr indeksu 36 328. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty", 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Prenumerata: kwartalnie — 195 zł, półrocznie — 390 zł, rocznie — 780 zł. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów. R-5.

KONTAKTY

Z LISTU DO PROKURATORA

„[...] więc natychmiast trzeba aresztować go, bo jest jednostką przynoszącą szkodliwość społeczną, oraz rozpowadzającą pijaństwo wśród uczciwych ludzi bez alkoholu. Nadmieniam, że nie piszę tego ze złośliwości na niego, której nie mam w stosunku do jego osoby, co może poświadczyć dużo ludzi znających mnie i jego. Powodowany jestem tylko troską o dobro ogólne z wyszczególnieniem ludzi przez niego deprawowanych, a to kobiety i dzieci też tak samo, które nagabuje w stanie wskazującym na spożycie wyskoku. Nie ma przy tym głowy do picia, co już nie raz okazało się po wypiciu ledwie pół litra na twarz, nawet z zakąskami czy innym śledziem. A najlepiej to może powiedzieć o nim jego żona, z którą pomieniony nie współżyje już od paru lat, na co mam dowody w postaci nie mieszkania rzeczonych osób razem [...].”

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

FRASZKA

(z ogłoszeń)

KOMFORTOWE M-5 W KLUCZBORKU
ZAMIENIĘ NA ŚPIWÓR W NOWYM JORKU

Nota biograficzna: Witold Puławski, ul. Sikorskiego 10/29, 18-500 Kolno.

PODREDAKCYJNA EKSTRAPOCZTA

Motto:
Dobrze czy źle,
byle dużo.

„Szanowna Podredakcjo!

Postuluję, aby skończyć pisanie głupich wierszy. W to miejsce można np. zamieszczać wspomnienia historyczne, albo nawet inne, co będzie bardzo pozytywne, zwłaszcza dla młodzieży. Również seksualista, ten dureń skończony, niech już w końcu dopnie swego, bo nie można wytrzymać, że się chłopina tak strasznie męczy bez żadnego wyniku.

Co do innych rubryk, to mogą pozostać, może z wyjątkiem «W tym temacie», w której to rubryce Szanowna Podredakcja obraża uczciwie pracujących urzędników, ale nie będących przecież pisarzami, tylko zwykłymi gryzipiórkami. Można, oczywiście, żądać od nich, aby się dokształcali, sądzę jednak, że powinni to robić w innym, że tak powiem, kierunku. Niech dokształcają się, jak porządnie załatwiać ludzi, którzy przychodzą do nich w celu załatwiania różnych spraw, i najczęściej odchodzą z kwitkiem.

Jeśli ten list zostanie wydrukowany, proszę nie ogłaszać mego nazwiska, bo sam jestem właśnie człowiekiem urzędującym w takiej Instytucji.

Pozostaję z szacunkiem.”

BIURALISTA
— jeden z wielu

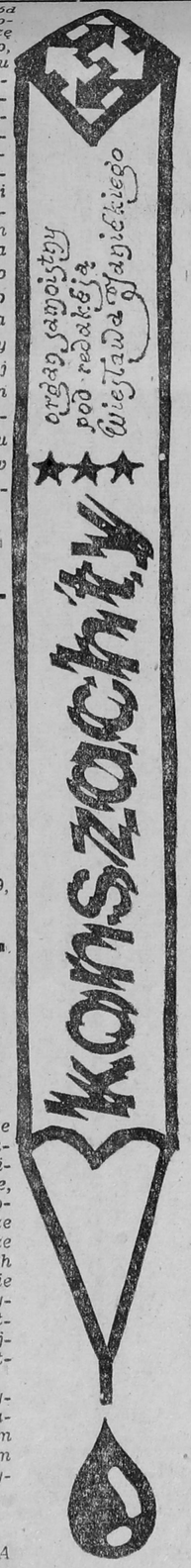

KOMPUTEROWY ZAWÓD TYGODNIA

PROGRAMISTA SLOGANÓW

wieści ponadgminne

W prasie krajowej od pewnego czasu pojawiają się felietony i różne inne enuncjacje, w których autorzy wyluszczają swoje pretensje pod adresem twórców i wykonawców telewizyjnego „Studia Lato”. Ton tych publikacji jest zdecydowanie negatywny, zaś rozrywkowi kabaretowcy, którzy przez dwa miesiące wylazili ze skóry, żeby umilić życie telewidzom, nazywani są najczęściej chałturszczykami z poczuciem humoru i wdziękiem niedźwiedzi himalajskich.

Malkontenci zdają się nie widzieć, że zawód humorysty należy do najtrudniejszych zawodów świata i w całej historii ludzkości tych z prawdziwego zdarzenia było niezbyt wielu. Znacznie łatwiej być błaznem w zbyt dużych butach, czy zbyt krótkich majtkach, i ględzić, co ślina przyniesie na język. Zatem, panowie, wstrzymajcie swoje narzekania. Proście raczej, aby w przyszłym roku skauci piwni dolepili sobie nosy, wymalowali policzki barwą jakąś jaskrawą, a wtedy wszystko stanie się jasne. W końcu cała telewizja to jeden duży cyrk, z czego pora wreszcie zdać sobie sprawę.

KOMENTATOR

— Dobrze — odparła baba z brodą. — Jeśli mi nie wierzysz, możesz sam się przekonać, że jest nas tutaj dokładnie sto i trzynaście. Hej, baby! — wrzasnęła gromko. — Zaraz mi tu w dwuszeregu stawać, gdyż ów młodzian jurniasty chce was policzyć sprawnie, aby pomyłki w trakcie miłego nam wszystkim działania nie było żadnej.

z pamiętnika seksualisty (117)

Kobiety jęły się tedy ustawiać w karnym dwuszeregu, nawet specjalnie do przodu się nie pchając. Pewne były najpewniej, iż żadna z nich nie straci ani grama z tego, co od takiego jak ja osiłka uzyskać miały. Ja zaś, wystraszony i wylękniały, gorączkowo rozmyślałem nad sposobem ciała swego ratowania, gdyż byłbym je z pewnością na amen postradał, gdyby jędze owe się dowiedziały, żem młodzian, póki co, całkiem jeszcze nie używany i radości oczekiwanej dostarczyć im nie byłem zdolen wcale.

— Panie Jacenty — powiedziałem półgębkiem, słowa swe kierując w stronę cyrkowca. — Może pan chwilowo popilnuje owe baby, iżby sprawnie się poodliczały, ja zaś odejdę chwilowo na bok, duchowo przygotować się do onego wielgachnego balu, jaki za chwil parę odbyć tu się raczy.

— Zgoda — odparł Jacenty, siłacz podnoszący papierowe ciężary. — Idź, gdzie chcesz, a najlepiej do diabła

Bacz przy tym tylko, iżby niewiasty nie dostrzegły, że się oddalasz. Mogłyby one pomyśleć sobie, iż uciekasz od nich w nieznane, a wtedy w skórze twej nikomu bym być nie radził. Kobieta bowiem, która na chłopa raz się napali, straszniejsza jest od najstraszniejszej furii ogoniastej. Nie może ona wstrzymać chęci swoich i dlatego ten chłop, który ją najpierw podniecił, działać musi lub skórę swoją diabłu w zastaw oddawać.

Wysłuchawczy owej perory, ruszyłem cichcem w stronę odrzwi, aliści głos mnie w miejscu zatrzymał brodatej: — A dokądż to? — spytała słodziutko. (Cdn.)

Rys. Henryka Cebuli

KRYZYSOWE JEDNO DANIE

KRWAWA KICHA

Kichy wołowe, solone, załadować gęstą papką składającą się z różnych części własnoręcznie przyrządzonego tomatu pomidorowego z pomidorów odpadkowych, trocin drzew iglastych oraz kaszy nadziewanej wołkiem zbożowym. Dodać trochę krwi uzyskanej sposobem gospodarczym ze znajomego wieprza Zapiec w piekarniku, podawać bez żadnych wyjaśnień. Smacznego!

GOSPODYNI

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT INTERPERSONALNO-ADMINISTRACYJNY PT.

SZCZĘŚLIWY POWRÓT

(Miejsce akcji: pulwy nadnarwiańskie w pobliżu wojewódzkiego miasta Łomża, gdzie krze same a mamory oraz oczyszczalnia ścieków. Przy niezbyt wesoło trzaskającym ogniu rachitycznego ogniska siedzą cztery dobrze znane nam diabły).

SUPRASKI: — Kuliedzy moi parzystokopytni, czy nie za dużo aby dyskutujemy o sprawach lokalnych, a nie za mało o zagadnieniach globalnych?

BUŻAŃSKI: — Właśnie odnosiłem jakby podobne wrażenie. Diabły z nas lokalne, to prawda, wszelako winniśmy rozszerzać swoje zainteresowania na obszar znacznie głębszych penetracji myślowych.

NARWIAŃSKI: — A ten to skąd się nauczył tak rozprawiać? Czyżbyście uniwersytet skończyli w międzyczasie jaki?

BUŻAŃSKI: — Ma się rozumieć, żem był ukończył, i to w dodatku Podlaski!

SUPRASKI: — Przecie go jeszcze nie ma?

BUŻAŃSKI: — No i co z tego? W zastępstwie, póki co, Politechnikę byłem skończył z odznaczeniem partyzanckim. Temu jestem taki mądry i nie tak jak wy głąbiasty!

BIEBRZAŃSKI: — A u nas, w Goniendzu...

NARWIAŃSKI: — Cichajcie! Co zaś do waszej myśli kolego Supraski, to, być może, prawdopodobnie macie rację i nie wykluczam, że tak jest właśnie, to znaczy nie powinniśmy się zbyt zawężać w naszej diabelskiej penetryzacji obszarów eskalacyjnej indoktrynacji.

BUŻAŃSKI: — Widzę, iż i wy mądrzy jesteście jak wszyscy diabli.

NARWIAŃSKI: — Uniwersytetów wprawdzie nie kończyłem żadnych, ale na kursokonferencje często uczęszczałem, gdzie wiedzy źródło tryska wszelakiej.

BIEBRZAŃSKI: — U nas, w Goniendzu...

SUPRASKI: — Zamilczcie diable! A wracając do waszej myśli, kuliego Narwiański, to oczywiście, jak najbardziej i tak dalej. Oraz temu podobne.

NARWIANSKI: — W takim razie zacznijmy dyskutować o sprawach wysokiej wagi No więc... yyy... eee.

SUPRASKI: — Brawo! Chociaż, prawdę mówiąc, ja sądzę inaczej!

BUŻAŃSKI: — Słusznie robicie, bowiem w wielości poglądów tkwi jedność myślenia, czy też odwrotnie, już nie pamiętam, bom egzaminów końcowych jeszcze nie zdawał.

NARWIAŃSKI: — Toście słabawo wykształcony!

BUŻAŃSKI: — Jakże?! Doktorat już robię z następującego tematu: „Wpływ kultury prasłowiańskiej na kadrę naukową Politechniki Białostockiej” Obrona w najbliższy czwartek. Serdecznie zapraszam!

(Cdn.)

uniwersalna wróżba tygodnia

Tydzień raczej spokojny jeśli nie liczyć tych kilku niespodziewanych wydarzeń, przed którymi musisz chronić siebie i swoją rodzinę. Może się bowiem przytrafić, że około wtorku lub środy ktoś zechce złożyć Ci (Wam, wizytę z propozycją wypicia flaszki. To samo może być również we czwartek i w piątek, a w sobotę to już na pewno. Dobrze więc zrobisz zamykając się w domu na cztery spusty i nie wpuszczając nikogo do środka, nawet listonosza, który może mieć kaca i zechce z Tobą chlapnąć.

KASSANDER